

P A N  
NA CZTERECH CHŁOPACH.

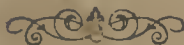
---

HISTORYA SZLACHECKA

Z XVIII WIEKU

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

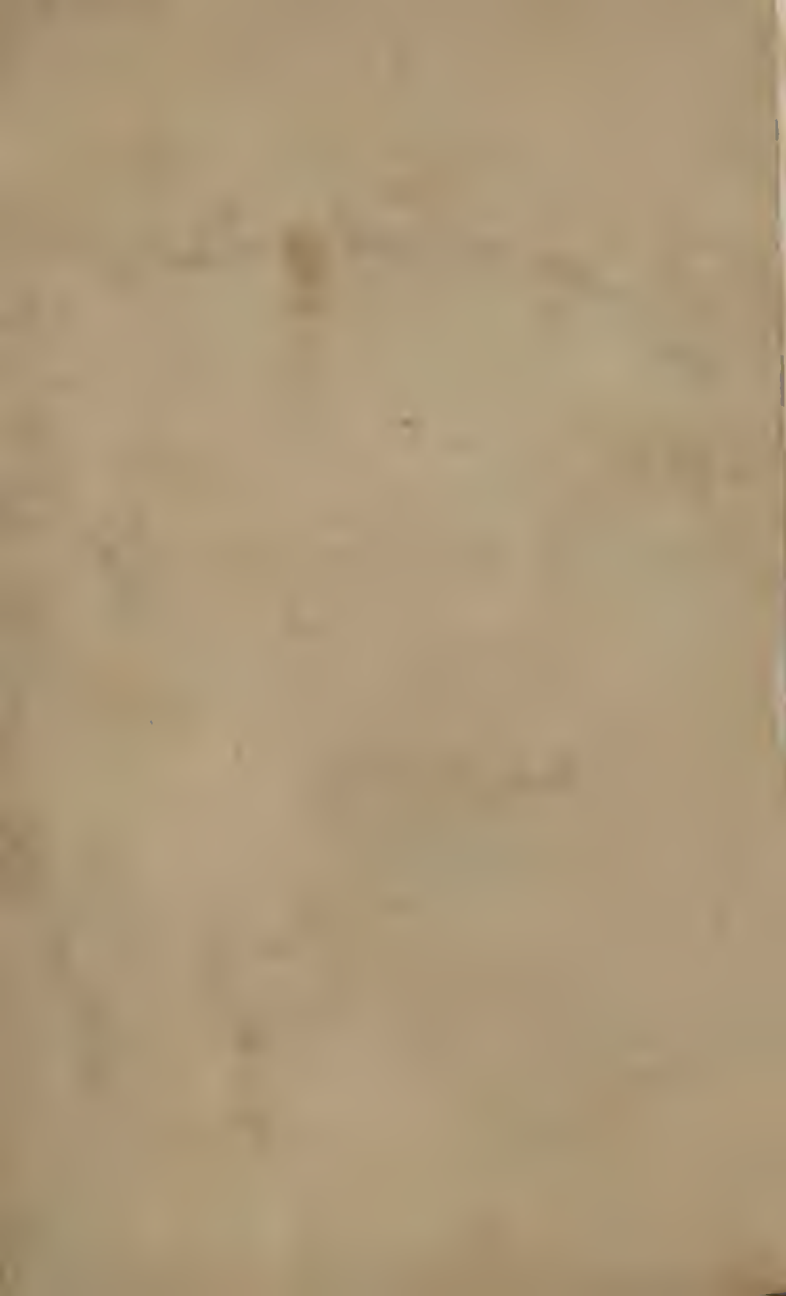


WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

—  
1879.

*Recew...*



PAN NA CZTERECH CHŁOPACH.



# PAN NA CZTERECH CHŁOPACH.

---

HISTORIA SZLACHECKA

Z XVIII WIEKU

przez

J. I. KRĄSZEWSKIEGO.



WARSZAWA.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

---

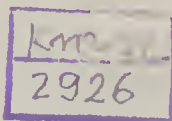
1879.

*Kr. Kr.*



Дозволено Цензурою.

Варшава, 3 Полбря 1878 года.



Świadczy o tem stary zbieracz szlacheckich podan Bartosz Paprocki, jako rodzina Sobków, herbu Brochwicz, w herbie używająca Jelenia z koroną, swojego czasu bardzo zamożna była, znaczne majątności dziedziczne posiadała, od Zygmunta Starego zastawą Solec trzymała, a na kądziel potem zszedłszy, dwa domy pańskie, Radziwiłłów i Ciołków z Żelechowa zbo-gaciła. Dostatki jej wsiąknęły tam bez śladu.

Musiała to być jednak gałąź tylko zamożniejsza Sobków; gdyż za panowania ostatniego z Sasów, mieszkał jeszcze pan Felicyan Sobek, cześnikowicz nurski, nieopodal od Włodawy, nad Bugiem, a z papierów jego okazywało się, że do Brochwiczów należał, i że niegdys protopłasci jego majątki mieli znaczne. Tymczasem cześnikowicz zszedł był na taki kłapeć ziemi, że na nim się już z wielką biedą szlachectwo jego trzymać mogło. Jak Sobkowie do takiego przyszli ubóstwa, wytłómaczyć

trudno. *Ludit in orbe Deus*, mówili starzy; maluczcy rosną, a wielcy upadają, tysiące tego mamy przykładów. Składały się na Sobków ruiny rozmaite okoliczności: krew gorąca, nieopatrność wielka, ofiarność zbytnia, klęski z dopustu Bożego, podział fortuny, córek wyposażenia, wojny, pożary, procesa i małoletności.

Gdy pana Felicyana ojciec odumierał, miał chłopiec lat ośmnaście, ledwie się był cokolwiek przetał w jezuickich szkołach, niedojrzały był całe, potrzebował opieki, a nie miał prawie żadnej, bo od ubogich swoi i obcy stroinią jak od trędowatych.

A jest też ubóstwo jako trąd, który łatwo przylega, a wyleczyć się z niego trudno.

Przed śmiercią cześnik napróżno do dalekich krewnych swoich i żony pisał, aby sierotą się zaopiekowali; nikt pary nie puścił, nie odezwała się żywa dusza, i biedny starzec dziecka nie mając komu polecić, zdał je na ręce starego sługi, pewnie szlacheica też, bo się zwał Grzymalą...

Ten Adam Grzymalą niby sługą u niego był, a więcej przyjacielem. Żyli z sobą jak bracia, jednym głodem oba marli, a Grzymale i na myśl nie przyszło opuścić Sobka, gdzieindziej szukając szczęścia, coby go pewnie na większym jakim dworze spotkało. Adam ekono-mował niby, choć tam nie było na czem; w po-



trzebie za pługiem poszedł i z bronami; klucze trzymał od pustego spichrza, buty czyścił i do jednego stołu z Sobkiem ~~siedział~~.

Gdy trzeba było jechać do Włodawy lub Sławatycz, a choćby i do Białej, Grzymała zaprzęgał i powoził. Zrosli się ci dwaj starzy ludzie z sobą tak, że jeden drugiego myśli zgadywał, a gdy który z nich płakał, ciekły łzy drugiemu.

To też gdy Sobkowi umierać przyszło, a nie było komu syna zostawić, resztą sił za szyję objawwszy Grzymałę, zaklął go stary, aby syna nie opuszczał i był mu opiekunem a ojcem. Nie potrzebował o to prosić, samoby było przyszło, bo Adam gdzieindziej żyć ani mógł, ani chciał, i wołał tu głodem mrzeć, niż gdzieindziej w dostatkach opływać.

O kilka pono lat młodszy od Sobka, Grzymała krzepki był. nie chorował jak żyw, znosił wszystko, co nań spadało, a choć człek niepozorny, wielkiego był waloru.

Nie lękał się umierający o to, czy go młody słuchać zechce, bo Feliś nawykł był od dzieciństwa Adama szanować i jak ojcu samemu ulegać.

Spuszczna po nieboszczyku panu cześniku ziemi nurskiej była tak licha i takiego składu, jak się rzadko trafiało. W wioszczce, która Sobkom pozostała z rozerwanych dóbr, zwanej jakby na posmiewisko Trzcieniec Wielki,—

nie było nad chat pięć; z tych jedna wymarła za cześnika, tak, że stała pustkami, bo nie było kogo osadzić, i trzymały się już tylko cztery. Łąk nadbużnych miał Trzcieniec dosyć, wydm i piasku podostatkiem, lasu wypalonego i wyrąbanego kawałek, pól dobrych mało. Jeżeli którego roku woda nie zajęła, na łęgach nadbużnych jare zboże można było zasiać i plon zebrać znaczny; ale na pięć zasiewów takich najmniej trzy Bug odbierał i marnowała się praca.

Na takiej lichej wioszczynie, od której dawno jej awulsa poodpadały, został był dwór, jak nazwisko Trzcienca niepotrzebnie ogromny, z przedwiecznych gldzies czasów trzymający się, z którym nie wiedzieć co robić było, chyba siadłszy w nim płakać.

Za cześnika już trzy jego części stały pustkami, okna w nich tarcicami pozabijano, dach słomą narzucono, i używano pokojów na składy różne, a szczury, łasice, myszy, więcej w nich od dziedzica gospodarowały. Ciężar to był wielki z tym dworem, i kilka razy już rozbiorac go ehciano, ale i na to rąk brakło. Stał więc czekając, aż go kiedyś burza powali.

W jednym rogu kilka izb pomniejszych zajmował dziedzic i Adam Grzymała.

W wielkich izbach, na których scianach resztki jeszcze dawnych szpalerów pogniłych wisiały, składano, co Bóg dał, nawet drzewo do

opału. W sieniach kloc stał, gdzie skałki rąbano. W jednej sali za wozownię służącej sań było kilkoro i łomy bryczek a koczów odwiecznych. Gdzie się światło zakradało, trawy rosły żółte i grzybów moc.

Gdy wszedłeś do tej pustki, powietrze obwiewało grobowe, chłodne, stęchłe, że długo wytrwać tam było trudno. Rozmaite ptastwo, począwszy od sów i puhaczów, gnieździło się na poddaszu, w kominach, u belek, a że mu tam nikt nie przeszkadzał, mnożyło się niezmiernie. W jednym końcu, snadź z dawnych czasów siedziało gniazdo bocianie ogromne, na które „Pan Wojciech” co rok regularnie z familią przybywał, choć powszechnie mówią, że od nawiedzonych nędzą miejsc ucieka. Czasem nocami gdy cicho było, a zwierz drobny, który się tu rozsiadł dokazywać począł,—stukalo i łomotało po pustych izbach, jakby w nich złe duchy harce odprawiały. I było to mniemanie u pospolitego ludu, że nieczyste siły po nocach broiły, niepokojąc ludzi.—Po ciemku też nikt tam się iść nie ośmielił.

W izbach narożnych, choć przylegały do tej biedy, można było żyć jako tako. Ganeczek tam dawniej przyczepiono, i były oprócz kuchni, spiżarni i mieszkania Grzymały, dwie izby dosyć obszerne z alkierzem przyciemnym. Tam się całe miesciło gospodarstwo, stara Motruna, gospodyni, która jesć gotowała, a z sierotką

Pryską około dwóch krów i drobiu chodziła i wreszcie Niemowa, człek też stary, który stróżował we dworze.

Był to człek zdrowy, silny, zahartowany tak, że w najcieńsze mrozy rzadko co oprócz koszu-  
li kłaść potrzebował, pracowity, ale niezmier-  
nie zły, gdy mu się sprzeciwiano. Urodził się  
tak bez słuchu i języka, mruczał tylko i pisz-  
czał, ale na migi wszystko rozumiał i co mu  
kazano robił, byle miał co jeść. Wódkę też  
lubił bardzo, ale mu jej nie dawano, bo czasem  
gdy się napił, w furę wpadał, a wtedy na nic  
w świecie nie zważał.

Osobliwością było, iż Niemowę tego niebosz-  
czyk ksiądz proboszcz nauczył klęczeć w koś-  
ciele, z rękami złożonemi, i tak się na nabo-  
żeństwie znajdował pięknie, że nie można lepiej.

Była z niego posługa wielka, bo mu nie  
nie dawano, tylko kożuch jeden na lat kilka,  
siermięgę i koszul zgrzebnych parę. Gdy się  
odarł, przynosił łachmany swe i wskazywał na  
plecy.

Niech Bóg broni było go skrzywdzić nie-  
sprawiedliwie! Bo choć rozumu miał mało,  
a poczucie sprawiedliwości bardzo wielkie.  
I to w nim szczególne było, że dzieci nie-  
zmierne lubił, i gdy nie miał co robić, na rę-  
kach je nosił, huśtał i usypiał. Czasu żniw,  
gdy babom trzeba było iść z sierpami, a z dzieć-

mi małemi nie wiedzieć co było poczynąć, wołano Niemowę,—najlepsza z niego nianka była.

Dworu tedy całego więcej nad to, co się powiedziało, nie miał cześnik, a i te dusze czasem wyżywić mu było trudno; bo Grzymała, choć głód pięknie znosił, gdy się do misy do-rwał, tylko było patrzeć a dziwować się.—Niemowa żarł strasznie,—sierotka Pryska, małe dziewczę, chude jak szczapa, całyby dzień była gębą ruszała, byle miała co złasować. Za to Motruna więcej pościła za duszyczki swe różne, i za grzechy stare, niż jadła, a cześnik póki żył, lada się czem obcobdził.

Po śmierci jego i ubogim pogrzebie, gdy się pan Felicjan znalazł sam jeden w Trzcieńcu z Grzymałą, na prawdę nie wiedział co poczynąć. Wyprzedać się, gospodarzyć, puścić komu ziemię, a samemu szczęścia szukać, wojskowo służyć, do kancelaryi wstąpić, dworskiego chleba próbować, wszystko miał do wyboru, ale do niczego bardzo go serce nie ciągnęło. Ojciec dopóki żył, o nic tak nie stał jak o wychowanie syna, ostatki oddawał, aby go w szkołach popędzać, a że chłopiec był zdolny, głowę miał otwartą i umysł bystry, więcej z niego zrobili Ojcowie Jezuici niż z drugich. W szkołach też z różnymi się i zamożniejszymi paniczami poznał, lubili go wszyscy.

Statku w nim było nad wick, bo choć sobie osmnastcie lat liczył, drugi go i we dwudziestu

kilku tyle nie ma. Pan Bóg go sownie ze wszech miar wyposażył, bo pokazny, zręczny i szlachetnego oblicza był tak, że gdyby nie odzież uboga, często połatana, wzięby go było łatwo za senatorskie dziecko. A obyczajnym też, skromnym i akkomodującym się być umiał bez wszelakiej podłości, i Ojciec rektor, ks. prefekt, wszyscy, co go znali bliżej, odchwalić się go nie mogli.

We dwa dni po pogrzebie,—było to jakoś w Marcu, wiosna przychodziła leniwo, zimno jeszcze Lutowe prawie na dworze, siedzieli w większej izbie u komina pan Felicjan i Grzymala. Ten był tylko co od gospodarstwa powrócił, bo choć go tam niewiele mieli, zawsze po oborach i chlewach i w stajni trzeba się było co wieczór rozpatrzyć.

Stary Adam od małego dziczka nawykł był czesnikowicza po prostu Felisiem nazywać.

Milczeli długo oba. Grzymala ręce czerwone tartł a rozgrzewał, wreszcie obrócił się do chłopca siedzącego niedaleko, i popatrzałwszy nań, bąknął:

— No, a co? Wyplakawszy się, ta pomodliwszy, czas myśleć o sobie, co będziemy robili Felisiu?

Chłopak drgnął.

— Jakże wy myślicie?

— No, co tam ja! Ja do takich spraw ro-

zumu wielkiego nie mam. Kiedy gnój wozić, to ja wiem, ta—i tyle.

— Ja też się jeszcze nie rozmiarkowałem... rzekł Feliś. — Czas na to. Rwać się na świat bardzo nie myślę: co ojciec robił, to i na mnie przypada.

— Ojciec był stary—westchnął Grzymała. Za młodu i on na Trzcieńcu nie siedział. Młodemu trzeba świata ujrzeć i obetrzeć się, a szczęścia poszukać.

— Toć prawda, panie Adamie—odpowiedział chłopiec,—ale żeby w świat iść, trzeba mieć za co ręce zaczepić.

To mówiąc rozłożył je, pokazując, że pusto w garściach było.

— A jak drudzy z talarem w kieszeni poczynają?—odezwał się Grzymała. Młodość za skarby starczy, służba nie krzywdzi, dorabiają się ludzie dworsko, trzymając pńskiej klamki.

Na to pan Felicyan nic nie odpowiedział. Grzymała aż się zwrócił do niego, żeby zobaczyć, dla czego milczy i co mu to jest?

— Cóż? dworska służba? nie w smak?—spytał.

Potrząsł głową Feliś.

— Bo widzisz Feliś—mówił Grzymała,—na wsi w tym gnoju zmarnujesz się. Szkoda ciebie do widel i brony. Jak mi Bóg miły! skapcaniejesz, jak my tu z nieboszczykiem oba;

łapcie wdziejesz, zamęczysz się, zachorujesz i zabijesz. Tobie trzeba ludzi. Nie darmośmy cię do szkół oddawali, aż do poczyi, mospaniel! Czy w palestrze, czy w kancelaryi, czy na dworze, chętnie cię przyjmą.

— To prawda — odezwał się cześnikowicz, — ani słowa; lecz gdziekolwiek pójdę, służą muszę być, gdy w Trzcieńcum ja sam sobie pan.

Rozśmiał się Grzymała.

— Piękne mi państwo, kiedy sobie sam w piecu palić będziesz musiał! Jeszcze póki ja żyję, nie dam ci tego robić... a no, mnie i Niemowie przyjdzie prędzej później na inogilki wędrować. Motruna też kaszle i ledwo się włóczy... ze smarkatej Pryski pocicchy wiele nie będzie. Ze wsi nie ma kogo wziąć.

— A co pomoże jak ja ztąd ubędę? odezwał się cześnikowicz, — albo się przez to co poprawi?

Grzymała się po głowie pocesał palcami, bo miał to we zwyczaju, gdy go co niecierpliwiło.

— Widzisz Feliś — rzekł, — nim my się położymy na niewstanie, ty do tej pory możesz się dorobić.

— Jakim sposobem?

— A głowa i ręce od czego?

Feliś grzał się u ognia milcząc, zadumał się, Stary czekał długo na odpowiedź; i nie mógł się jej doczekać.



— No cóż? co?—odezwał się,—co ty na to?

— Nie wypędzajcie mnie ztąd—rzekł powoli cześnikowicz. Ambicyi wielkiej nie mam, trochę wiem, jakie po dworach życie; a jakbym rok popróbował tu posiedzieć i pogospodarzyć?

Grzymała ramionami ruszył.

— Któż ci broni, albo kto cię wypędza? rzekł cicho. Ojcu nieboszczykowi a memu dobrodziejowi najosobliwшему przyrzekłem święcie, że ci służyć będę,—służę czem mam. Tak mi się zdało, że kiedy on o te szkoły dbał, nie do brony i sochy cię sposobił!

Feliś milczał ciągle zadumany.

— Więc cóż? spytał Grzymała.

— Ja też się nie zarzekam niczego... odezwał się cześnikowicz. Gdyby się okazała jaka trafiała, możebym w świat poszedł; tyńcza-sem spocząć tu trochę chciałoby się.

— Cożes ty się tak uznoił? usmiechnął się Adam.

Przyłożyli drewek na komin, który i grzał i świecić musiał, bo innego światła w izbie nie zapalono; rozmowa się nie wiodła, zamilkli.

Nazajutrz Grzymała poszedł po oborach, do gumna, gdzie dwóch młocków owies na nasienie wybijało, obszedł gospodarstwo, popatrzał po niebie, że się coś na lepsze nie zanosilo, i do izby wrócił.

Zastał Felisia też gospodarującego, bo chciał porządek uczynić w tem, co po ojcu zostało.

— Panie Adamie — odezwał się cześnikowicz, — a jakbyście mnie pomogli się rozpatrzyć po kątach?

— Czemu nie!

Wzięli się tedy oba do wyciągania sepetów, otwierania szaf i inwentarza swojej biedy. Na prawdę nie było co robić bardzo, bo po cześniku, krom fascykułów, papierów, dokumentów, których kufer był cały, odzieży i ruchomości mało co pozostało. Najlepszy kontusz, żupan i pasik wziął z sobą do grobu; co po tem było porządniejszego, syn odłożył i usciskawszy Grzymałę, jemu oddał. Zostały dwie karabale, z których jedna od parady, i sygnet z krwawnikiem, z herbem Sobków, bo szlacheckio godła na innym kamieniu rznąć się były nie zwykły, tylko na krwawym, tak jak herbowe pole, krwawo wysłużone, najczęściej purpurowe było. Strzelba jedna długa, z zamkiem popsutym; druga jeszcze dobra. Kulbaka i siodło paradne, aksamitem spłowiałym obciążnięte, dawno nieużywane a od molów mocno poprzegryzane. Zbroja żelazna z krzyżem na piersi mocno zardzewiała; kołczuga stara z miśsiurką srebrem okutą; ryngraf z Matką Boską i Św. Józefem.

Wszystko to z kątów powyciągali, cześnikowicz obejrzał, i nie wiele już pozostawiało...

Poszli tedy do czeczotkowej szkatułki, która u łóżka stała, i wynieśli ją na światło do pierwszej izby. Tu w papier uwinięte były obrączki ślubne, dukat z Matką Boską, różaniec nieboszczki matki, kilka jej listów, laku kawałek, sprężyna od zegarka, guzików kilka pozłocistych, flaszeczka z wyschlým olejkiem różanym i parę modlitewek skutecznych, przepisanych na różnych papierkach.

Pieniędzy, po pogrzebie i jałmużnach, nad talar i kilka groszy nie było.

— Z czemżes ty mnie, panie Adamie, wświat chciał wyprawic?—spytał Feliś.

Stary po głowie się potarł.

— W stodole nic ma nic, chyba co na nasienie, i przeżycie na przednówku, a Bóg raczy wiedzieć, czy tego roku urodzi?

— A czemu urodzić nie ma?—odparł Grzymała. Żyto posiane na najlepszym kawałku, na Wieruchowszczyźnie, da Bóg proso i len sypniem na łęgu, a że woda nam już trzy razy z rzędu, to świętojanka, to jakóbowka szkodę robiła i zabierała posiewy. chyba Bóg nie łaskaw, w tym roku się ostoim... I w stodole też... poczał Grzymała z namysłem, ale się wstrzymał...

No... na stodołę, prawda, nie ma co rachować. Omłotu żytniego jest kupa, ale z tego pociechy nie będzie; niemłóconego kilka kop,

owies, tyle co na nasienie i dla szkap z sieczką... Jęczmienia drugi rok nie mamy...

Zadumał się Grzymała.

— Czyśmy komu co winni jeszcze? spytał cześnikowicz.

Tak zagadnięty pan Adam, pasa na sobie pociągnął, i rzekł:

— Nie bez tego... Zelmanowi talarów bi-tych pięć tyńfów dwa.

Przypominał dalej, ale cedząc z wolna, aby nie nastraszyć sieroty.

— Breslauerowi we Włodawie, siedm z czems.

— A więcej?

— Jużci i proboszczowi trzy.

— Jeszcze się co znajdzie? badał niesmiało Feliś.

— Dwa talary pożyczył nam Chwedor Borzobohaty, ale z temi nie pilno. Chłop siedzi na pieniądzach, garnezków ma pozakopywanych nie wiem ile, tylko się tai. Ojciec jego już sławny był z tego, że u niego nigdy stogi się nie omłacały, aż drugiego roku. Temu nie pilno.

Westchnęli. Kilkanascie talarów z prowizyą dla biednego dziedzica stanowiło kapitał nie-mały.

Chudoba dworska ledwie starczyła gospodarskim potrzebom, a Borzobohaty miał i liczniejszą i tłusciejszą niż pańska. Wołów roboczych dwa, z których jeden łysy, stary, już na

Żyda patrzył, byle go czem odkarmić, krów liczone trzy, jałówek dwie, cieląt dwoje, koni troje. Z tych klacz stara bułana, na jedno oko była ślepa i podpalona. Kilkoro gęsi, kilkanaście kur, dziesięć owiec czarnych — oto wszystko.

Sprzedać z tego inwentarza cokolwiek bądź niepodobna było, a gdyby na łysego się nawet kupiec znalazł, trzeba go było zaraz młodym zastąpić, bo na cielęta czekać nie miał czasu gospodarz. Orka wprawdzie na piaszczystych polach lekka była i sochę tam lada biedactwo pociągnęło, ale na łęgach, gdy się muł zsiadł i zapiekl, chudoba się męczyła strasznie i musiał dwór mieć swoją. Jeden Borzobohaty wychodził z uprzężą dobrą na pole; ze trzech innych gospodarzy, Andruk miał wołęta chude, a Chmura z Wronkiem sprzęgali się do roboty.

Pola dużo, jałowiało przez to... lecz gdyby się zmógł nawet dziedzie na lepszą oborę, rąkby mu do niej zabrakło. We czterech chatach nie zbyt „siemienistych,” więcej było dzicci i wyrostków niż parobków. Gdy się przyszło rozpatrzeć we wszystkim, ręce opadały. Grzymała wzdychał. Dźwignąć się nie było prawie sposobu. Wiedział to może i Feliś, lecz nie mówił nic; chodziło mu po głowie, że jakiśby przecież srodek na to znaleźć się powinien.

Tak cały dzień prawie przegawędzili chodząc

po kątach, i stękając. Z południa plucha na pół śnieżna trochę się przejęła; Grzymała oknem wyjrzał i chciał wychodzić, gdy do izby wpadł Niemowa.

Wyglądał strasznie biedny człek z głową ostrzyżoną krótko a brodą na pół siwą na cał odrosłą, z oczyma czarnemi wypukłemi, z pierśią obnażoną, bosy, w koszuli tylko i spodniach u dołu słomą do nóg poprzywiązywanych, — czemś czy przestraszony czy nadzwyczaj zdziwiony. Ręce się mu trzęsły i usta krzywiły. Palcami wskazywał po za dwór, i wydawał krzyk dziwny: Hu! hu!... jakby się tam coś niezwyčajnego stało.

Nie mogąc go dobrze zrozumieć, wypadł na ganek Grzymała, i w stronę wskazaną patrząc, zobaczył — istne w Trzebieńcu dziw.

Małą drożyną wiodącą ku dworowi, jechał powóz ciężki i ogromny. Była sama roztopów pora, błoto straszne. Gdzie niegdzie zamróz trzymał, ale w wielu miejscach do gruntu puszcilo i koła się rznęły głęboko. Droga też prowadząca do Trzebieńca nigdy większych powozów nie widywała i nie była dla nich przeznaczona; koleje wąskie wybijały wozy. Tu i owdzie rowok wymyły wody, stał jakby brodek, leżały kamienie, chróst i kolki, któremi się grzęznący ratowali. Słowem, droga była w świecie najokropniejsza zawsze, a onego wiosennego czasu, piekielna dla wozu,

straszna dla kałamaszki, dla landary niemożliwa.

Prawda, że owo zjawisko ciągnęło sześć ogromnych koni, w chomątach ciężkich; ale machina była jak dom wielka, wisząca na drągach i pasach, na których kołysząc się istotnie na imię kolebki zasługiwała.

Na jednym z koni siedział wyrostek, na wysokich kozłach woźnica w delii i kołpaku, na stopniach z obu stron stała służba. Powóz był widocznie pański, ale jak się tu zabłąkał, z kąd wziął, tego Grzymala pojąć nie mógł, a Niemowa, który raz pierwszy w życiu widział coś podobnego, śmiał się, ręce podnosił i krzyczał:

— Hu! hu!

Z postawy jego widać było, że nie dotrzyma, i gdy się zbliży ów potwór—pierzchnie.

Grzymala stał jak wkuty.

Powóz posuwał się nadzwyczaj wolno, zapadał niekiedy to jedną stroną, to jednym kołem, a naówczas służba się rzucała i podtrzymywała, ażeby nie runął. Z po za skórzanych firanek widać było wysuwające się ręce, to z jednej, to z drugiej strony.

Patrząc zdala na tę podróż po wertepach, litość brała nad końmi najprzód, potem nad ludźmi. Oprócz tego Grzymala i później za nim wybiegający Felis przejęci byli uczuciem innem, ogarniał ich wstyd i strach.

Oczywiście zdala ów dostojny podróżny, zobaczywszy ogromny dwór, został pozorem jego uwiedziony. Zdawało mu się pewnie, że tu znajdzie godną siebie gospodę. Tymczasem wrota wiodące na podwórze były dla skromnych wozów i bryczek stworzone, nie dla takiej bajecznej landary; sześciu koni owych olbrzymich nie było gdzie pomieścić, a w niskie wrota ani ich można było wprowadzić. W dziedzińcu uszczuplonym ogrodzeniem zawrócić z tą machiną było niepodobna...

Cóż dopiero ludzi i konie i pana nakarmić?

Wszystko to przez myśl przechodziło przestraszonym i strapionym. Stali milczący, nie śmiejąc nawet odezwać się do siebie: Co to z tego będzie?

Staropolska gościnność nie dozwalała ani pomyśleć, żeby zabłąkanego podróżnego od wrót odprowadzić. Grzymała spojrział na czesnikowicza; ten na niego.

Tymczasem choć landara się toczyła niezmieŕnie powoli, czasami nawet przystając, bo konie były zhasane, i para z nich buchała jak z kotła, a woźnica dobrze batem musiał szkapę smagać, gdy powóz zapadł tylnemi kołami,—zawsze jednak zbliżało się to widocznie, i już przewidzieć było można moment ów straszliwy, gdy konie u wrót staną, a ludzie do dworu przybiegną.

Choć płot z chróstu, opasujący dziedzińiec,



nie był stary i miał swą wartość, bo rąk do zbytku nie było (nie licząc łoży i kółków)—Feliś widział, że go przyjdzie na ołtarzu gościnności poświęcić i złamać.

Toby jeszcze najmniejsze było, lecz—co dalej? Jak tu takiego magnata przyjmować? Czem? Piwnicy całkiem nie było w Trzcieńcu, a w loszku ani butelczyny. Baryłka wódki siwuchy, którą się Grzymała pokrzepiał, do której Niemowasię uśmiechał, stanowiła jedyny trunk w domu... Zapasów żywności, oprócz kilku serów, wędzonych kielbas, pary półgęsków i czerstwego chleba nie było tak dalece.

Owies młócono—na zasiew!

Sześć pańskich koni głodnych mogło skompromitować nadzieje przyszłego roku...

Stary sługa i młody dziedzic patrzali na siebie z niewymowną trwogą, ale zarazem z ową rezygnacją heroiczną, która spełnieniu obowiązku gościnności szlacheckiej towarzyszyła. Szlachcic rozłamywał się chlebem w drodze, w domu płot musiał bodaj wyłamać dla gościa.

Nie szło o wypróżnienie spiżarni, choćby jutro głodem mrzeć miano, lecz o to, jak się przyznać, że w niej godnych gęby pańskiej zapasów nie ma?

Zarumienił się Feliś i poblądł, Grzymała głowę poskrobał i pasa pociągnął.

Landara żółwiemi kroki posuwała się coraz bliżej, i już słyszeć było: „Wio!” woźnicy i po-

krzykiwania służby, prychanie koni, i pisk powozu nienawykłego do podobnych przejsć, od których wnętrzości jego skrzypiały.

Feliś i Grzymała stali jak skamieniali. Niemowa widząc, że ta straszna rzecz już już się pod wrota podsuwa, prychnął jak kot, który się psu broni.

— Pch! pch! — huknął, i sadząc ogromnemi kroki przez kałuże, pusił się ku szopom, dopadł drabiny, schował się na wyżki. Żadna siła ludzka nie byłaby go powstrzymała, tak okrutna ogarnęła nim trwoga. Motruna z gębą otwartą, Pryska z ustami zamkniętymi fartuchem, stały tuż nieledwie gotowe dobry przykład dany im przez Niemowę naśladować.

W tej chwili przednia para koni, pod samiućki płot przybywszy — stanęła. Skoczyła służba ze stopni i dostrzegła, że powóz na żaden sposób przez ciasne wrota nie wejdzie.

Grzymała heroicznie, chłodno posunął się ku wjazdowi, i własnoręcznie wrota naprzód odrzuciwszy na bok, jedno przesło płotu pochwycił w silne dłonie, machnął niem parę razy, aby kołki obluzować i na ziemię obalić.

Skinął potem poważnie na woźnicę, że droga stoi otworem, landara poruszyła się, zatrzęsła, zakolysała, zapiszczała i majestatycznie wtoczyła się szukając ganku.

Dawny zajazd do domu stał zabity deskami. Grzymała pokazał róg dworu, do którego

przystęp był wązki i nieco balijkami zastawiony, ale musiano się tu skierować, bo innego nie było.

Z powozu dwie wielkie ręce się ukazały, przystąpił do stopni gospodarz z głową odkrytą i ukłonem gościa powitał...

Co to za gość mógł być, nikt się nawet domyslać nie umiał. W sąsiedztwie wprowadzie majątkości były znaczne, do wielkich domów należące, księcia chorążego Radziwiłła, Sapiehów, dawne Pocijowskie, które, był właśnie podskarbi Fleming zagarnął, ale panowie ci rzadko zaglądali po kątach, dla polowania tylko, albo czasu sejmików, gdy szło o przeprowadzenie kandydatów-swoich, widzieć ich było można po miasteczkach i gościńcach. Tu z powozu i dworu znać było, że jechać musiał senator nielada i magnat wielki, za którym gdzieś reszta jego ludzi i furgonów pozostała; nikt jednak zrozumieć nie mógł, jak i po co w ten kąt zapadły przywędrował.

Pan Felicjan zbliżył się jako gospodarz honory czynić zmuszony, z głową odkrytą, lecz fantazyi bynajmniej nie straciwszy. Spojrzał w głąb: na pierwszym miejscu siedział człek niemłody, słusznego wzrostu, dosyć jeszcze przystojny, z niemiecka ubrany i twarz też mający jakąś nie naszą. Oczy mu się nad snia-

dem polieczkami świeciły bystro, czarne, niecierpliwe, i usta kręciły dziwnie, sam też rękami i nogami miotał, jakby mu na miejscu ciężko było usiedzieć. Peruka i kapelusz temi ruchy nadwreżone zdawały się klócić z sobą; futerko, którem był okryty, pomięte było i starte... rękami po kolanach przebierał i rwał się już wysiadać.

Naprzeciw niego w polskim stroju podróżnym szlachcic siedział, dworak znać zażywny, twarzy rumianej, z wąsem spusicystym, oczu niebieskich mocno wypukłych, równie szparkiego temperamentu, bo już chciał, uprzedzając pana, z landary wyskoczyć, gdy z niemiec-ka ubrany, ręką go nazad w powóz popchnął i sam się wychylił. Oczy wraził zuchwałe w pana Felicyana, obejrzał się na dwór i dzie-dzińczyk, i bez żadnej ceremonii począł akcentem cudzoziemskim:

— Jak się nazywa?

Stosowało się to do Felicyana, który w tej formie interpellacyi do siebie wystosowanej nigdy nie słyszał jeszcze, i skrzywiwszy się nieco, obejrzał po za siebie, jakby szukał tego, o którego pytano.

— Kto? zapytał.

Podniesionym głosem i z wielką niecierpliwością już nie zagadał, ale zakrzyczał siedzący w powozie:

— Jak się Jegomość nazywa?

— Ja?? Felicyan Brochwicz Sobek, do usług pańskich—odparł chłodno dosyć młodzieniec.

— A miejsce? wieś? hę? wołał przybyły.

— Trzcieniec Wielki—rzekł śmiejąc się gospodarz,—choć w istocie on już dziś się stał bardzo małczkim.

— Jest gdzie popaść? rzucając się ciągle, mówił siedzący w powozie.

— Czem chata bogata, tem służę,—odezwał się śmiało Felicyan. Uprzedzić tylko muszę pana, że chudym pacholkiem jestem i wygody u mnie nie znajdzie. Co jest tem służę!

Przybyły już więcej nie pytając, z pospiechem wielkim począł się dobywać z powozu, co mu nie łatwo przyszło, bo się do tego brak zbyt żywo. Zbliżył się Felicyan, Grzymała i własna służba pańska, podając mu ręce. Wydobyto go z landary, zaplątanego w futerko i gniewającego się na własne nogi, któremi rzucał pocieszenie, bo chwilę spokojnym być nie umiał.

Na tem się nie skończyło...

Powóz stanął był nieco opodał od ganku tak, że pomiędzy nim a suchym progiem przestrzeń była dosyć znaczna, zajęta kałużą i błotem. Niepodobna było wykwinętego obuwia pańskiego na despekt narażać, i Grzymała dał ręką znać, aby się wstrzymano z dalszym pochodem; skoczył ku dworowi, tarcicę leżącą

pod nim schwycił, rzucił ją w kałużę i suchą drogę usłał.

Nie uważał tylko w tym pośpiechu i gorącej chęci usłużenia, gdy deskę rzucił, iż woda się musiała rozprysnąć i błotem obrzuciła wszystkich, pana Felicjana, dwornię i samego dostojnego gościa, który rzucił się gniewnie, jakby Grzymałę pięścią chciał walić, lecz się wstrzymał i poszedł ku gankowi.

Dwornia po cichu śmiała się z tego wypadku.

Szli tedy pontificaliter do izby wszyscy: pan, jego towarzysz, Felicjan i Grzymała na końcu, ręką gładząc włosy. W jedynej tej izbie ranny ogień szczęściem nie wygasł był na kominię, i zaraz do niego drzewek przyrzucono, aby podsycić.

Tu dopiero na świetle dzionnem mógł się gospodarz gościowi dobrze przypatrzeć, a najprzód twarzy, w której jakies wielkie wzruszenie lewą jagodę w dziwne drganie wprowadzało. Oblicze było pańskie, dumne, rozumne, żywy nad miarę temperament okazujące.

Towarzysz pański, który przy nim tak pokornym był, że mu wnet sam zaczął stolka szukać i kapelusz odjął, uprzedzając sługi, pomimo to także buty miał duże i łatwo było zgadnąć, że sam na sam takby zawadyacko dokazywał, iżby go uchodzić nie było łatwo. Gospodarowali już w izbie, jakby ona do nich

należała. Prychnął otyły jegomość, że krzesła nie było, i na stołku podłożył chustkę, którą zdjął prędko z siebie; obejrzeli się po ubożem mieszkaniu, okazując pewne nieukontentowanie, że tak źle trafili.

Gospodarz stał z boku, mając za sobą w odwodzie Grzymałę, tulącego się do kąta, i czekał co dalej Bóg da, zachowując zimną krew i wcale pokornej nie przybierając miny.

Z niemiecka ubrany pan począł mu się naprzód przypatrywać, i pomyslawszy nieco, odczytywał się głosem dziwnym, prędko i nakazująco a gorączkowo:

— Dziedzic wioski? he?

— Tak jest, odparł Felicyan, — i chciałbym mieć to szczęście wiedzieć, kogo u siebie przyjmuję?

Zdziwił się trochę i skrzywił gość usłyszawszy to pytanie, jakby mu się zdawało, iż go przecię cały świat znać musi, a jakby zagadnienie to wprost *ad personam* uczynione, uwłaczającem dla siebie znajdował.

Prychnął tylko, a towarzysz pański postąpiwszy krok, rzekł z cicha:

— Jasnic wielmożny graf Fleming, podskarbi z Terespoła.

Skłonił się z lekka młodzieniec, lecz spodziewanego może wrażenia to na nim nie uczyniło, pomimo że pan generał artylleryi koronnej, podskarbi litewski, starosta szereszewski

i brzeski, świeżo od Pocięja strażnik Olitewskiego nabywca dóbr Włodawy, Rożanki, Rzeczycy i Zdzitowice, był dzięki własnemu znaczeniu na dworze i kolligacyi z Czartoryskimi, jednym z najmożniejszych panów w okolicy.

— Jasnie wielmożny graf, dodał towarzysz, w drodze nieszczęśliwie zabłądził.

— Furmanszlagił przerwał podskarbi, i stuknął o stół.

— Dokądże jasnie wielmożny graf jechał? zapytał Felicjan.

— Do Kaplonosów, rzekł cicho spytany,— dla dyfferencyi z Holeszowcin!

Grzymała słysząc to, przeżegnał się zdziwiony.

— Gdzie tedy do Kaplonosów! zawołał.

— Szlagił powtórzył Fleming. Powiedział: wiecie drogę! Ludzie zostali, a my tu! he! Dziura, piekło, żaden gościniec! szlagi!

Grzymała, który wcale też nie był wielkością pana onicsmielony, dodał:

— Na to się poradzi i da przewodnika do Kaplonosów, to mała rzecz!

— Mała rzecz! wielki czas! zawołał Fleming gniewnie.—Konic zmęczone, a ja!

Pomacał się po bokach.

— To jest piekło nie droga! tedy nikt nie jeździ?

— Oprócz fur z gnojem i po drwa do lasu!



dokończył chłodno Grzymała,—a podskarbi podchwycił za nim ze złością:

— Ja! gnój, *drek!* wozic po te drogi!

Wszyscy zamilkli widząc gniew panski; podskarbi popatrzał na Felicyana.

— A co jeść? nie ma co jeść? zapytał.

— Wątpię, żeby to, co jest, godnem było ust pańskich, odparł gospodarz,—jaja się znajdują, chleb razowy, masło, mleko. Jestem człowiek ubogi.

— A dla czegoż jesteś ubogi?—podchwycił Fleming.—Młody człek, taki zdrów, silny, niepowinien być ubogi.

— Tak Bóg dał—odparł Sobek,—ojciec zubożał, jam się jeszcze nie miał czasu dorabiać. Niedawno mi go śmierć zabrała...

Tu westchnął.

— Szlachcic?—spytał Fleming.

— Stary szlachcic, herbu Brochwicz—odezwał się dumnie chłopak. Mieliśmy to szczęście, że dwa domy pańskie naszą się fortuną pożywiły: Radziwiłłowie i Ciołkowie z Żelechowa. Dla tego może nam, to jest mnie, czterech chłopów zostało.

Fleming się rozsmiał.

— Cztery chłopcy! Herr Jesus! ale dwie ręce zdrowe i głowa!—Uderzył się w czoło.

— Chodził do szkół?—dodał.

— Aż do *poesica*,—rzekł Felicyan.

— No, to do palestry—zasmiał się podskar-

bi, wskazując na towarzysza swojego, którym był Antoniewicz, patron trybunału i plenipotent pański.

— Nie mam ochoty!—odparł gospodarz.

— Na pański dwór—dodał Fleming.

Sobek zamiast odpowiedzi spojrzał dosyć hardo. Zamilkli na chwilę.

— Każę przynieść, co mam do jedzenia—rzekł, kłaniając się i wychodząc gospodarz.

Gdy się sami zostali, podskarbi się uśmiechnął, i na czoło pokazując zamruczał:

— Cztery chłopcy a fummy szlacheckie jak na stu chatach! Polski szlachcic!

Antoniewicz, który też miał prawo do tego tytułu, trochę się skrzywił, a Fleming rozśmiał. Jakby dla uczynienia dywersyi, wszedł jeden ze sług pana podskarbiego, i spytał, czy puzderko z winem i wódką, które cudem się w powozie znalazło, ma dobyć? Za nim tuż kroczący Grzymała, nie czekając odpowiedzi pana, odezwał się głośno:

— A pewnie, bo u nas oprócz wody i bardzo smierdzącej kotłówki, nie ma nic.

Rozłożył ręce. Fleming skinął na sługę, i Antoniewiczowi ręką pokazał, że pić co nie ma, ale jest duma szlachecka.

Poszli więc po puzderko.

Nim w kuchni jadło przygotowano, Fleming z gniewu i złego humoru szczęśliwie ochłonął. Rozglądał się po izbie i ubogich

sprzętach, zdając się dziwić, że tu ludzie żyć mogli. Antoniewicz stał oparty o stół, sięść nie śmiejąc w obliczu pana.

Naprzeciwno Motruna z Pryską warzyły jaja, zniosłszy co najświeższych z pól kopy, lecz nie umiały ich inaczej zgotować tylko po szlachecku, to jest na twardo. Dodano kielbasę wędzoną, masło solone z faski, chleb razowy i—kwaszone ogórki, nieuniknione przy-smak, każdej przekąsce towarzyszący.

Wszystko to pan Felicyan przy pomocy Grzymaly, gdyż bosonoga Pryska, w czarnej koszuli na żaden sposób nie mogła i nie chciała wystąpić,—zanieśli do izby. Nakryli grubym obrusikiem stół, i pan Antoniewicz popatrza-wszy na śniadanie, puzderko otworzył. Pił te-dy najprzód pan podskarbi, potem Antonie-wicz do gospodarza, i utraktowano Grzymałę, który sobie nie przypominał, kiedy pił coś tak przedziwnego.

— Prawdziwa ambrozja, nektar—szepnął gładząc się po picrsi.

W milczeniu, z rezygnacją, wziął się do otląkiwania jaj Fleming, z których same żółtka wybierał; powąchał parę razy chleba, spró-bował go ukąsić i wyplunął. Popatrzał krzywo na ogórki, kielbasy ukroił, wyegzaminował ją i odważył się zjeść kawałeczek.

Około powozu tymczasem, z którego puzderko wydobyto, dwór pana podskarbiego

z panem Grzymałą rozprawiał o dalszej drodze do Kaplonosow. A że panu Adamowi pilno było zbyć się co rychlej nieproszonych gości, których koniom na podróжных żłobkach owsa na nasienie przeznaczonego, z bólem serca zasypać musiał, zaraz się tem zajął, ażeby parobczak od Borzobohatego na konia siadł i powóz do traktu prowadził. Posłano Pyskę pędem na wies i nakazano Antkowi w inig z koniem się stawić.

Fleming zjadłszy jaj dosyć, a napsuwszy ich dużo, raz się jeszcze napił, i zobaczywszy stojącego Felicyana, kiwnął mu, aby ku niemu przystąpił. Uczynił to chłopak ani zbytniej pokory, ni dumy nie okazując niepotrzebnej.

— Po łacinie?—począł pytać.

— A czegożbym się w szkołach uczył?—rzekł Sobek,—po polsku u nas nie uczą, bo to każdy z domu przynosi. *Gradus ad Parnassum* skończyłem.

— Po co Parnassul — ruszając ramionami wtrącił podskarbi, i ręką po stole ruszając, mówił dalej:

— Kalligrafia?

— Niczego—uśmiechając się odczwał egzaminowany.

— Do kancellaryi ochota?

Potrząsnął głową Sobek.

— Niewielka!

— A do czegoż wielka? — spytał Fleming.

— Największa byłaby do roli, gdyby i na czym i z czym gospodarować było—mówił Felicyan.

— I! wasze gospodarstwo—rozsmiał się podskarbi,—*polnische Wirthschaft!* Wy nie umiecie gospodarować.

— Bośmy się nie mieli czasu nauczyć—odparł śmiało Sobek,—siedzielismy przez dwieście lat na konin, z szablą, na kresach, przeciw dziczy pogańskiej, a baby n nas z włodarzami gospodarowały.

— No, to teraz czas—odrzekł podskarbi,—z kredką, z główką, pięknie! Ja wziąłem po Pocięju Włodawę i Rożankę i te nieszczęśliwe Kaplonosy, pięknie! Zobaczycie, co ja z nich zrobić. Z Błotkowa zrobiłem Terespol; byles w Terespolu? spytał.

— Nie, dotąd nigdzie nie bywałem—rzekł Sobek,—nie było czasu, teraz znowu trzeba swojego zagona pilnować.

Podskarbi ręce podniósł.

— Cztery chłopcy!—rzekł śmiejąc się,—cztery chłopcy!

— Co robić, kiedy pan Bóg nie dał więcej? szepnął Felicyan.

— Pan Bóg się do was i do waszych chłopów nie miesza—począł żywo podskarbi. A na co ci dał rozum??

Sobek nie nie odpowiadał; ten dalej mówił zacinając z niemiecka:

— Waćpan jesteś młody, silny, nie głupi.

Sobek się skłonił, choć komplement nic był nazbyt gładki.

— Na cztery chłopy nie ma co robić! Trzeba iść szukać służby i grosza się dorabiać. Jak za młodu będzie cztery chłopy, na starość nie zostanie i jednego, he??

Spojrzał na Antoniewicza, który święcie głową słowa pańskie potwierdzał. Tymczasem Sobkowi się wyrwało:

— Ale ja na moim zagonic panem jestem, na cudzym byłbym sługą.

Usłyszawszy to podskarbi, zarumienił się.

— Szlachcic polski! — zamruczał, — sługą! sługą! A któż nie służy? Ja jestem sługą Króla Jegomości, Król Jegomość podlega Cesarzowi i Imperyi, Cesarz Panu Bogu, a acan chcesz panem być—na cztery chłopy!!

Śmiał się mocno, Antoniewicz mu pomagał. Pan Felicjan milezący stał i słuchał.

— Acan mnie nakarmił, ja dam za jaja dobrą radę. Przyjedź waść do mnie do Terespoła, zgłoś się do Morochowskiego, niech on mnie powie—jak? Sobek?

— Sobek—jasnie wielmożny panie.

— Ja cię będę promować!

Skłonił się pan Felicjan, choć może nie tak nisko do kolan pańskich, jakby pan Antoniewicz życzył, bo się skrzywił.

— Pamiętajże! przybywaj, póki ja o wa-

szeci i o popasie tym nie zapomnę, bo u mnie na głowie dużo rzeczy.

Grzymała stojący u progu, odezwał się cicho:

— Już ja mu przypomnę i wyprawę do łaski jaśnie pana.

Fleming popatrzał na wielce niepoczesnego starego.

— Kto? — spytał.

— Adam Grzymała! — rzekł, kłaniając się sługa.

— Szlachcic? — sarkastycznie dodał podskarbi.

— Samo nazwisko dowodzi! — rzekł, dumnie prostując się stary i gładząc czuprynę, — *de illustrissima stirpe Grimalitarum*.

— Szlachcic!! — powtórzył ramionami, zżyjąc Fleming. Tu wszystko szlachcic! W łapciach szlachcic, w siermiedze szlachcic.

— I w dziurawych butach! dodał niezmieszany Grzymała.

Fleming śmiał się, aż mu łza pociekła.

— Mój Antoniewicz — odezwał się nagle, spojrzawszy w okno, — jechać czas do tych pasukudnych Kaplonosów!

Ruszył się i Antoniewicz i Grzymała przed ganek zobaczyć, czy konie dojadły i czy już je ludzie zaprzęgli. Woźnicom i dworowi pilno było z pustego domu, gdzie im ledwie prostej wódki, sera i chleba dano, stali więc pogoto-

wiu, i Borzobohatego chłopiec na grubej koby-  
le, podesławszy sobie worek z trochę siana, we  
wrotach już czekał. Dano znać, ruszył się pan  
Fleming. Spojrzał raz jeszcze na Sobka, i po  
ramieniu go klepiąc, dodał:

— Szlachcie eztery chłopcy, do Terespoła.  
Rozumie? Znajdziemy jemu lepsza robota!

Sklonił się powtórę Sobek, i nie niżej, niż  
wprzód. Zaczęto wyprowadzać do karety  
podskarbiego, który się już rwał co prędzej.  
Rozpoczął się pochód przez kładkę, która się  
uginąła, pospieszył za swym panem Antonie-  
wicz i dano znak do jazdy.

Ruszył się ciężki powóz zwolna tąż samą  
drogą, jaką się tu dostał, przez kałuże i dziury  
dobijać do traktu. Lecz mając teraz przodem  
jadącego Antoska, który wskazywał suchsze  
objezdki, prędzej się wydostał na piaski.

Czesnikowicz, Grzymała, Motruna, której  
dano pół talara, Pryska, która dostała pono  
tynfa, nawet nieco ośmielony Niemowa, wy-  
dobywszy się z wyżek, długo stali i patrzali,  
jak powóz oddalał się od Trzeienca.

Jako wspomnienie po tych odwiedzinach, zo-  
stało rozsypane na dziedzińcu siano, skorupy  
od jaj, złamany płot, który zaraz podniesiono,  
zasepiona twarz Grzymały, i dosyć obojętne  
usposobienie Felisia, niebiorącego bardzo do  
serca oświadczonej mu pańskiej łaski.

Stary sługa nie gniewał się na Opatrzność,



która tu wielkiego pana jakby umyślnie sprowadziła, ale markotny był na Felicyana, że się hardo stawiał i znaleźć nie umiał.

Gdy weszli z nim razem do izby, stary sługa począł mu wymówki czynić, rozbierając punkt po punkcie, jako najprzód niepotrzebnie swe ubóstwo wygadał i z niem się odkrył, gdy można było przypadkowym składem chwilowych okoliczności niedostatek tego i owego wytłómaczyć; zamiast czterech chat przynajmniej o piętnastu *legitime* dawało się mówić, bo niemal po tylu pustki stały odłogiem na piaskach; na ostatek i to miał za złe wychowawcowi, że się na pokorę nie zdobył, niżej nie kłaniał i nie dziękował za obietnicę promowania. Lecz Felis był po młodemu hardą duszą, i na tej polityce, która kłamać i kłaniać się każe, wcale się jeszcze nie znał; uściskał Grzymałę.

— Daj mi ty pokój stary—rzekł,—ja sobie z tych łask podskarbiego nic nie czynię. Będę albo i nie będę z nich korzystał, pojedę albo i nie pojedę, a zajrzawszy do Terespoła, jak mi się tam nie podoba, czmychnę nazad, że tyle mnie i widzieli.

Zniecierpliwił się stary pan Adam.

— Jam sługa—rzekł,—ale mi ojciec opiekę zdał nad tobą; otoż ci powiadam, że pojedziesz do Terespoła, i musisz tam pobyc. Dosyć biedy zaznalismy; kiedy się można z niej dobyć, a okazyje sam Pan Bóg daje, kiepby był, kto by nie korzystał.

Feliś zamilkł, bo starego niemal jak ojca nawykł był słuchać i szanować.

Niebawem więc, nie dając projektowi zastysnąć, zaczął Grzymala sztyftować wszystko do podróży. A było o czem myśleć, bo począwszy od konia do czapki, musiano każdą rzecz obejrzeć, ocenić i wylatać. Felicyan wedle swojego humoru, nie chciał się wcale z ubóstwem kryć i wysadzać nad siłę; Grzymale, który powtarzał, że jak cię widzą tak piszą, szło o to, aby wychowaniec choć skromnie, ale porządnie na dworze pańskim się pokazał, bo tam o śmieszków i żartownisiów, co radzi ze wszystkiego szydzą, nie było trudno.

— Zechcą się ze mnie śmiać—odparł cześnikowicz,—no, to co? Jeżeli z dobrego serca się pośmieją, sam im pomogę; jeżeli ze złej woli, to się wyrąbiemy, a jak ich pokiereszuję, dadzą pokój.

Grzymale podróż ta spać nie dawała: zagadywał o nią rano, mówił przy obiedzie, rozprawiał wieczorem, myślał w nocy, bo na niej budował wiele.

Potajemnie tedy, pod pozorem interesu do szewca, wybrał się do Kodnia dla dostania języka o podskarbin, i powrócił trochę markotny z wielkim zasobem powieści, które na dworze sapieżyńskim uzbierał.

Wydał się z tem, że Felisia pan Fleming sam do Terespoła zaprosił, czego mu winszo-

wano, bo w Brzeskiem województwie, a i dalej, pan podskarbi trząsał, jako chciał, ludźmi i co chciał dokazywał. Możliwym i rozumnym go głosili wszyscy, chociaż niepomierzenie gorącym, impetycznym, do cholery skłonny i samowolnym. Lecz że dobra miał rozległe, gospodarstwa liczne, stosunki wielkie, ludzie się przy nim żywili dobrze, i plenipotenci, dworscy, mecenasi, pomocnicy, słudzy, wszyscy przy nim grosza się dorabiali.

— Takie szczęście odepchnąć, gdy się samo stręczy—mówił stary,—szalonym trzeba być.

Sobek na to mało odpowiadał, a jednego wieczoru rzekł:

— Co dla jednego szczęściem, dla drugiego biedą być może. Ja się płaszczyć i pochwlebiać nie umiem, narazić się łatwo potrafię, naówczas zemsta pańska potężniejsza niż łaska, i zamiast korzysci, do domu wniosę biedę.

— A od czegoż rozum!—zawołał Grzymała. Pan Bóg łaskaw, i wy głupstwa nie popelnicie, chcąc głową mur przebijać, i on wam uczciwego punktu honoru za złe nie weźmie!

Słowem, przy swoim stał sługa, panicza całował a wyprawiał. Stało się tedy na tem, że gdy się ociepli, zazieleni, pora będzie do podróży przyjemniejsza, Felicjan się do Terespoła wybierze. Więc stary w niebo poglądał, liscie na drzewach liczył, pogodę wróżył, tak mu chłopca wyprawić pilno było.

Feliś jakby głuchego udawał.

Popstrzykali się czasem, lecz nim się rozeszli, zgoda najlepsza następowała, a Grzymała w swoje bił:—Jechać trzeba.

— To się pojedzie—mówił Sobok obojętnie.

— Jechać póki śniadania i popasu nie zapomni—przynaglał Grzymała.

I śmieli się, Feliś ulegać musiał.

Zamawiał też sobie stary, aby zbytnio do domu nazad Sobek się nie kwapił, bo się gospodarstwo bez niego obejść może; i dowodził tego praktycznie, sam się około niego jak najmocniej krzątając. Felisia prawie nie dopuszczał, każąc mu się ze strzelbą i niewodkiem bawić. Nigdy może stary tak gorączkowo czynnym nie był, a widząc go tak zajęтым, tknięty tem do żywego Feliś, rwał się sobie do jakiej takiej roboty tak, że raz go stary złapał łupiącego łuczywo, co było funkcją Niemowy.

— A! tego to już nadto!—krzyknął, odbierając siekierę.—jak mi Pan Bóg miły! Na dwór się wybierając, ręce sobie psuć około takiej roboty, jakby nie było dla ciebie co lepszego! Choćbyś sobie co z książek i łaciny przypomniał—łuczywa nam, Bogu dzięki, nie zabraknie!

Siejba się rozpoczynała, roboty więc było dużo, Grzymała koniecznie chciał wyprawić chłopca, nim się kosowica rozpocznie. Codziennie więc przypominał i napędzał, a gromił za ociąganie się i lenistwo.

Wczesnie obmyślał sam, jak się do Terespo-  
la Sobek dostanie. Z koniem był kłopot naj-  
większy, kałamaszką ani wozem, choćby naj-  
lepiej wysłanym, jechać nie wypadało, już  
i dla tego, że człowiekaby z sobą musiał brać,  
a nie było kogo, bo rąk nie mieli do zbytku.—  
Tymczasem pod siodło żaden z trzech koni  
dworskich dla młodego chłopca się nie nada-  
wał; chabety były małe, grube, klapouche  
i niepokazne, do bron i w hołoble polatawszy,  
a pod wierzch chyba Żydowi. Nic więc nie  
mówiąc Felisiowi, stary konia wierzchowego,  
roslejszego, dostał pożyczanym sposobem w Sła-  
watyczach u handlarza, pod ciężkimi warun-  
kami, które wziął na siebie. Koń był gniady,  
rosły, choć bez rejestru już, ale się dosyć dob-  
rze prezentujący. Szyję miał niegdyś prze-  
strzeloną w jakiejś potrzebie, lecz tego widać  
teraz nie było. Nogi trochę zmęczone, jeszcze  
nie były popsute; a osiodłany, pokryty, w dob-  
rych rękach, czasem sobie młodość przypo-  
minał i ogona zadzierał.

Dowiedziawszy się o tym koniu, gdy go  
przyprowadzono, Subek z razu ani chciał słu-  
chac, żeby na pożyczanym jechał, Grzymała  
jak go wziął, jak począł prosić a obsedować,  
zmógł wreszcie i szkapę narzucił. Siodło starc  
sam pocciwy Adam pozaszywał, munsztuk i rzę-  
dzik skórzany wyczyscił, czaprak, juki, wy-  
szyftował własnoręcznie, kryjąc się z tem

przed wychowankiem, bo w potrzebie z dratwą nawet i z szydłem obejść się umiał... Nie spuszczał się na Felisia, sam też garderobę do ładu przywiódł. Nie była ona wytworna: żupanik zielony z fałszem, ze starego ojcowskiego, odświętnego przerobiony, kontusz też za życia jeszcze nieboszczyka *ex antiquis* chłopcu do figury przykrojony, pasik nie bardzo wytarty, buty jedne do drogi czarne, drugie na pokoje czerwone safianowe niczego, popakował i pozawijał Grzymała zawczasu. Kilka talarów na podróż zbił ze sprzedaży skóry wołowej wiszącej na strychu i drobnych w spichrzu pozostałości, do których wszedł i puch przez Motrunę dostarczony. Nie ręczymy, czy parę groszy nie dołożył z własnej chudej kieszeni.

Miał i to na uwadze stary, aby Feliś w tę drogę nic wybrał się w dzień feralny, sobie zostawując oznaczenie go, gdyż na kalendarzu złe do podróży, do obcinania włosów i puszczania krwi, konstellacye miał starannie ponotowane. Co się tycze drogi, o tę pytać, dzięki Bogu, nie potrzebowali; bo z Kodnia do Trespola jak strzelił, łatwo trafił, nawet kto nie chciał.

Sobkowi jednak, choć już był przyrzekł, mocno się jechać nie chciało — ściągał, wymawiał się, a gdy już wykręcić nie mógł, dał sobie słowo uroczyste, że długo u Fleminga popasać nie będzie, a do domu drapnie jak najprędzej.

Onego dnia pamiętnego w Maju, gdy już nareszcie jechać trzeba było, Grzymała wstał o świcie, poszedł sam do stajni, gniadego nakarmił, napoił, wyczyścił, sam mu siodło podpiął, popręgi wypróbował i Niemcowie przykazawszy potrzymać, chodził mu się z różnych stron przypatrywać, czy też szkapa nie wygląda szpetnie.

Gdy Felis odziany, podpasany, a chmurny, wyszedł siadać, rzucili się sobie w objęcia, i Grzymała się rozplakał.

— Felisiu ty mój najdroższy, zajęczał: jak ty mi co dobrego życzysz, nie gorączuj się, nie unos, nie wyrrywaj nazad zbyt prędko. Krescytywy, gdy się trafia, nie rzucaj. Ja ci przysięgam na najdroższą krew Chrystusową, że nie dosięę, nie zalezę, dopilnuje się tu wszystkiego, nic nie przepadnie. Jęczmień dosięję, na ługach dojrzę; trzeba będzie kosić, damy i kosowicy rady.

Sobek spoglądał na ubogie domowstwo swoje, tęskno mu je było opuszczać. Cały dwór i starzy Borzobohaty kłaniali mu się żegnając, Motruna nie wiedząc czego, popłakiwała, Pryska wyszczerzała oczy, Niemowa ręce podnosił, śmiał się i wołał:—Hu! Pchu!

Przeżegnał się Felicjan i raz jeszcze skłoniwszy się Grzymale, który konia nie spuszczał z oka, jak też pójdzie i jak się wyda,—pokłusował rażno za wrota. Chłopak choć ubogo, wyglądał chędogo.

Szepecząc modlitewki, stary nie ruszył od ganku, aż póki za krzakami wychowanka z oczu nie stracił.

W Trzcieńcu biednyin, gdy tego panicza, którego teraz panem się nauczono zwać, nie stało,—dwór straszniejszą jeszcze pustką się wydawał. Grzymała poszedł po izbach wzdychając, i wszystkie na klucz pozamykał,—nie były mu potrzebne.

---

Sobek postanowił jechać z wolna i konia nie zrywać, nie spieszo mu było; tego więc dnia nad wieczór do Kodnia przyjechawszy, nocować tu w karczmie naprzeciw kościoła zabierał się, i już miał sobie iniejsca szukać u żłobu, gdy z bramy postrzegł, że ścisk był wielki, ludzi mnóstwo, w izbach jedna wrzawa, w szopie druga, bo się tam o każdą piędź kłócono, i konia nie było gdzie postawić. Szlachty kilku stało we wrotach, rozprawiając żywo, a zobaczywszy pana Felicyana, który zsiadł z konia i z nim się zbliżał, krzyczeć nań poczęli zawczasu:

— Darino się i nio kusciel nie ma gdzie!

Byłby więc zawrócił pewnie, gdyby w oknie nie ukazała się mu znajoma twarz patrona Antoniewicza.

Ten mu się przypatrywał bacznie. Poznali się, i Felis pokłon mu oddał.



Antoniewicz ten, który w Trzcieńcu był z podskarhim, a ów co przez okno wyglądał, choć niby jednym i tym samym zdawali się Antoniewiczem, jak niebo od ziemi się różnili. Przy Flemingu pokorny i milczący, tu patron huczał i rej wodził, szlachta mu się z dala przypatrywała i kłaniała nisko. Mina była gęsta, wcale inna, wás się podjął do góry, włosy inaczej się rosnąć zdawały.

— *Ni fallor!* zawołał,—JMPan Sobek ze Trzcieńca!

I skinął nan, aby się przybliżył.

— Czy nie do Terespola? spytał uśmiechając się, bo był w dobrym humorze, a na oknie stojąca na pół wypita szklanka po trosze tłómaczyła ten animusz jego.

Sobek głową skinął potwierdzająco.

— Masz asindziej szczęście—dodał Antoniewicz. Nasz graf nie zwykł dla szlachty być czułym, i nie tak jak książę wojewoda ruski, co na pamięć z rejestru liczy i zowie po imieniu, choćby kogo raz widział w życiu,—a wacpana tak zapamiętał i śniadanie u niego, że się już pono kilka razy pytał, czy go nie było? Dobrze się asindziejowi składa, bo to pan, co i sam dużo ma, i drudzy się przy nim pożywić mogą.

Jakos w usposobieniu był do gawędy pan Antoniewicz i huknął na pachółka, który był w izbie:

— Weźcie konia od pana Sóbka,—chodź  
acan do nas!

Felicyan nie śmiał odmawiać.

— Dziękuję panu mecenasowi—rzekł,—byle  
mi miejsce zrobiono, ja konia sam postawię  
i submittować się będę.

Nadbiegł sługa Antoniewicza, w karczmie  
się miejsce zaraz znalazło, i chłopak przyrzekł  
juk i rzeczy pilnować; miał więc głowę spokoj-  
ną Sobek, i wszedł do karczemnej izby, gdzie  
pan Antoniewicz u okna siedział, do koła oto-  
czony siedzącymi jak on i stojącymi ichmośc  
obywatelami po większej części województwa  
Brzeskiego.

Buchowieccy, Suzinowie, Wereszczakowie,  
Dąbrowscy, Paszkowscy, nie licząc innych, wła-  
śnie o następnym sejmiku rozprawiali. A jak to  
zwykle bywa przed sejmikiem, partya Fle-  
minga i Czartoryskich już się tu sposobila do  
występu przeciw hetmańskiej i chorążego Ra-  
dziwiłła. Sprawom tym zupełnie obcy pan  
Felicyan, ani mógł zrozumieć, w jaki tu wpadł  
wrzątek i gmatwaninę.

Przybycie jego, że mało komu z imienia na-  
wet był znanym, usta krzyczącym zamknęło,  
i zaczęto nań spoglądać.

— Pan Sobek ze Trzcienca! odczwał się,  
przedstawiając go innym, mecenas.—I wraz  
do szklanki wina nalawszy, podał mu ją.

— Przyjmowałeś nas z podskarbib u siebie

z niemałem utrapieniem, pozwolił się tu inwitować. Ja jutro też do dnia do Terespoła zmierzam, ruszymy razem, a że z Morochowskim widzieć się muszę, to go mu zaprezentuję.

Dosyć to było na rękę Felicyanowi, skłonił się więc dziękując, a że mu na sercu rażniej być poczęło, odezwał się:

— Za zdrowie pana mecenasa!—Jakoż w porę wniósł, bo za nim drudzy huknęli różnemi głosy:

— Mecenasa dobrodzieja—zdrowie! Vivat! Niech żyje!

Aż się karczma zatrzęsała, tak szlachta głosy podniosła, i pan Felicyan od razu jakby prawo obywatelstwa tem pozyskał, bo się zbierał z nimi tą szklanką.

Antoniewicza to dobrze ku niemu usposobiło. Wtem, że czasu nie chcieli tracić, Buchowiecki stary, pisarz ziemski brzeski, począł o deputatach mówić, podjęli za nim zaraz sprawę gorąco Herubowicz cześnik żmudzki i Korowicki namiestnik Łomazki, wszyscy słudzy i przyjaciele Flemingowscy; zaczęto się sprzeczać, stanie-li wybór deputatów, czy sejmik będzie zerwany?

Czasu tej dyskusyi, stojący nieco na uboczu Sobek miał czas i ochłonąć i rozpatrzyć się i rozśłuchać, nie mając potrzeby mieszania się do tego, czego nie rozumiał.

Ponieważ wszyscy około Antoniewicza siedzącego przy oknie się gromadzili, znalazł się więc kątek i ława, na której pan Felicyan mógł przysiąść i spocząć.

Bywał-ci on do szkół chodząc niejedną raz świadkiem wielkich szlacheckich tumultów, czasu trybunału w Lublinie; ale tam inaczej wyglądały gromadki klientów, niż tutaj owi przyszli sejmikowicze. Przypadkowo się to czy umyślnie zbiegło do Kodnia, nie wiedział, ale narada była gorąca. Rad nierad, przyszły dworzanin pana podskarbiego słuchać musiał, jak się tu ucierano.

Stary Buchowiecki, czy że go wiek podszejszy ostrożnym czynił, czy że miał lepszą dyspozycję szlachty wiadomość, radził ostrożnie sobie poczynąć.

— Acanstwo sobie pochlebiacie—mówił,— że podskarbi ma przyjaciół dużo i *pluralitatem* głosów na sejmiku za sobą mieć będzie.—*Utinam!* atoli nie życzę zbyt ufać, by się nie zawieść. Ma graf przyjaznych i wiernych sobie, lecz ma i pokątnych wrogów, co tylko czyhają na to, ażeby mu w oczy bryzgnąć.

— Nikt nie będzie śmiał! nikt!—przerwał sędzia grodzki Kropinski, człek pewny siebie i zarozumiały, jak to z twarzy widac było. Byle podskarbi nie obraził hutą i cokolwiek się chciał akkomodować, pójdzie wszystko jak po masle.

— Jesteśmy tu wszyscy, mogę rzec, jakby w familijnem gronie—wtrącił Antoniewicz,—bośmy przyjaciółmi podskarbiego, godzi się więc prawdę powiedzieć, że od niego wymagać, aby naturę gorącą zmienić—trudno. Nasza rzecz, gdzie będzie potrzeba zatrzyć, gdzie indziej podnieść, wytłómaczyć, załagodzić,—bo żeby miał podskarbi dla szlachty naturę zmienić, darmo i myśleć o tem!

— A no! to krótko powiem—wtrącił Buchowiecki stary,—może być złe. Za nic nie ręczę. My swoich znamy. Trudno grafowi odmienić humor, a szlachta, gdy się do kupy zbierze, też do applauzu nie tyle skłonna, co do szabli i kłótni.

Poczęto się sprzeczać, za i przeciw utrzymując, a Antoniewicz mitygował tem, że próżnego strachu zawczasu siał się nie godzi.

Trwały te dysputy sejmikowe do późna. Sobek parę razy do konia swojego zajrzawszy, zaproszony przez mecenasa na przekąskę, dotrwał tu, przysłuchując się do nocy, poczem na wyżki w siano z innymi poszedł spocząć, bo w izbie pełno było i nad miarę gorąco.

Z rana szlachty dużo poczęło się rozjeżdżać, lecz że mecenas spał jeszcze, bo wczoraj zbyt długo gardłował i dosyć podpieć musiał, gdy w sygnaturkę do kościoła na pierwszą mszę zadzwoniono, Felicyan miał czas pójść przed

cudowny obraz N. Panny z Gwadelupy i pobożnie wysłuchać całej Mszy świętej.

Antoniewicz wozem jechał, nie chcąc za nim kłusować, a umówiwszy się o spotkanie przed miasteczkiem, ruszył powoli przodem pan Felicyan, rad, że sobie pomysli i pomilczy.

Dziwnie mu się też pomyślnie składało, za co Panu Bogu dziękując, niebardzo jednak chciał szczęściu ufać, a na wszystko był przygotowany. Gdy tak jechał, że gościniec był wielki, miał się czemu przypatrzeć, bo ludzi wszelakich wlokło się tędy ku Brześciowi mnóstwo, a niektórzy ze wczorajszych spotykając go, zaczepiali.

Trafił mu się szczególnie jeden, konno także jadący, młody Paszkowski, który do niego przystał. Wickiem się z sobą zgadzali, a ten też pono w szkołach, których nie dokończył, gdzieś się z Sobkiem rozminął, i mało nic jednych był z nim usposobień.

Zaczepił go zaraz Paszkowski.

— Mówiono wczoraj, że waćpan do podskarbiego jedziesz?

— Tak jest.

— Więc i winszuję—dodał, — i niebardzo zazdroszczę. Szkoła to ten jęgo dwór, ale bodaj od jezuickiej twardsza. Człowiek impetyk, nieszanujący nikogo, niebardzo nas rozumiejący, saski graf więcej, niż polski szlachcic.

— Jam też z nim ślubu nie zawarł—roze-

smiał się Sobek,—a jak mi nie po myśli z nim będzie, rzućę go.

Pokręcił głową Paszkowski.

— Z tymi panami bieda, bo i nie potrzebować ich trudno, i odstać niebezpiecznie. Jedno tam w Terespolu jest, czego waćpanu zazdrościć można, (tu się uśmiechnął): pięknych pań i panienek dostatek. Przy córce podskarbiego panien szlacheckich, fraucymeru dobranego, jak kwiatków bez liku. Jest w czem wybierać!

— Dla mnie na to jeszcze nie pora!—odezwał się Sobek,—wolę nie patrzeć na nie i oczu sobie nie psuć.

— A to żebyś chciał, nie potrafisz!—począł Paszkowski. Daremna rzecz robić się indyffferentnym, kiedy się jest młodym. Wiek ma prawa swoje.

Gwarzyli tak, jadąc po drodze, o terespolskim dworze, dla którego młody Paszkowski nie miał wielkiego nabożenstwa.

— *Dura lex* dla nas młodzieży — rzekł w ostatku,—iż inaczej się żaden nie wydzwignie, tylko pańskiej trzymając się klamki. Nowicyat to ciężki, choć nieodzowny, a kto go nie przebył, pleców nie ma, do niczego nigdy się nie dogrzebie. Jedni Radziwiłłów, drudzy Czartoryskich, ci partyi dworskiej, inni przeciwnej czepiać się muszą, boby inaczej ani do urzędu, ani do mienia, ani do ożenku dobrego nie doszli.—Pan swata, pan kłóci i go-

dzi, wyposaża, a gdy mu się człek narazi, życie niepewne... ale u nas na tem świat stoi.

Ukazał się też wreszcie Terespol, który całkiem inaczej naówczas wyglądał, niż wszystkie miasta i miasteczka w Koronie. Naprzód, że cały niemal nowy był jak z igły. powtórę że dworki jego, domy, kamieniczki, rezydencya, kościół świeżutko, schludno, z niemiecka jakos się prezentowały. Gdyby pudełka papierowe, stały dworki w ogródkach, wszystkie do siebie podobne, skromne, nieobszerne, szeroką obejmują ulicę. Gdziekolwiek posadzone świeżo drzewka do kółków poprzywiązane, także cudzoziemski pozór mu nadawały. Architektura, łaźnia i pałac, całe nie była wykwintna, bo choć dziedzic bogactwem słynął, na piękny pozór się nie ślił, więcej dbając o czystość i porządek.

Z dała nad Białkowem tem, nad Terespol świeżo przechrzczonem, po za Bugiem i mostem widać było Brzesce stary i mury kościołów jego: Jezuitów, Augustynów, Bernardynów, Dominikanów.--Paszkowski, który do Brzescia na noc dążył, pożegnał tu Sobka, bo temu na rękę było Antoniewicza doczekać i pod jego opieką dostać się na dwór podskarbiego.

Od podskarbiego się dowiedziawszy, że znaczniejsza część dworu Fleminga z Niemców Sasów się składała, których on języka nie rozumiał, rad był szwargotania z nimi uniknąć.



Tymczasem mecenasa, mającego po drodze różnych okazji innóstwo, jak nie widać było tak nie widać.

Felicyan z konia zsiadłszy i nad drogą sobie znalazłszy kamień, na którym mógł przysiąść, gniademu dał skubać trawę, a sam zdala mieszcinnie się przypatrywał. Ale godziny upływały, a mecenasa próżno czekał.

Już się tedy rozmyślał, czyby nie lepiej było zamiast tu baki zbijać, wprost do pana Morochowskiego jechać i meldować mu się, gdy na drodze od miasteczka ukazał się widok, który go tak zajął, że o Antoniewiczu zapomniiał.

Był to piękny dzień majowy, a wieczór ciepły, wonny i pogodny. W kościółku jeszcze na Anioł Pański nie dzwoniiono, godzina najmilsza do przechadzki; słońce zachodziło, rosa padała, gorąco, które we dnie było dość znaczne, nstało.

Od miasteczka ukazało się coś, jakby processya jakas, i w początku Sobek zbierał daty po głowie, czy nie dnie to krzyżowe, ale w pochodzie tyni same były kobiety... a znajdowało się ich niemało i szły śpiewając i śmiejąc się, więc nie dla nabożenstwa. Cokolwiek się wpatrzywszy, dojrzał Sobek, że postrojone też były dziwnie, bo wianki miały na głowach i wieńcami były poprzepasywane. Starsza jejność im przodowała, zresztą cały szereg składał się z samych dziewczątek, różnego wieku,

a najstarsza z nich ledwie mieć mogła lat szesnastcie.

Jak żyw Sobek nigdy ani tak pięknych istot, ani tak wielkiego ich razem doboru nie oglądał. Ośłupiał więc, nie dowierzając oczom, z kąd się to wziąć mogło, co znaczyło, i jak na świecie coś tak dziwnie uroczego, słicznego istniało. Zdaje się, że siedzącego na pół w rowie Sobka dziewczęta z początku nawet nie postrzegły, a pasący się koń nie był dla nich żadnem dziwowiskiem, szły więc poskakując, śpiewając, łapiąc się, śmiejąc, jak gdyby ta zabawa żadnego nie miała świadka, ze swobodą dziecięcą, której tylko zwracająca się niekiedy z surowcem wejrzeniem ochmistrzyni wybuchy hamowała.

Przy niej szło dziewczę młodzusińskie, najpiękniejsze może ze wszystkich, choć żadnej brzydkiej nie było; dziewczę zręczne, żywe, trzpioczące się, z dużemi, strasznemi oczyma czarnemi, w której królową i panią tej gromadki poznać było można. Towarzyszki czekały na jej skinienie, rozkazywała im, kierowała, zdała się nawet trochę i ochmistrzynią rządzić, która ze szczególną dla niej była attencyą.

Z oczu jej czarnych tryskał ogień i życie, pieszczoszka dokazywała najnociiej, wołała najgłośniej, śmiała się najweselej. W gromadce za nią pośpieszającej, która się cisnęła,

usiłując zbliżyć ku niej i zwrócić uwagę na siebie, trudno już było Sobkowi wybrać najpiękniejszą. Wszystkie, każda na swój sposób, śliczne były.

Szły powoli, bo się często nazad biegnąc zwracały, i goniły, i zlatywały na stronę, miał więc czas Feliś dobrze się przypatrywać, a gdy jedną pochwycił oczyma, ta mu się wydawała tak piękną, że nad nią już żadna nie mogła stać wyżej.—Cóż potem? drugą, gdy się wpatrzył, inaczej śliczna, a znów była nad inne... Z kolei przebiegł tak te rumiane, białe, śnieżne i śniade twarzyczki, i aż mu się w głowie zamąciło.

Na królową tych dziewczątek, idącą przodem, nie śmiał nawet zwracać już oczu, ta była jakąś istotą niby nie z tego świata; inne więcej ludzko patrzyły. Od tych wzroku nie mógł oderwać...

Mimowolnie przyszło mu na myśl:—Gdyby ci też kazano wybierać!—przebiegł wszystkie po kolei oczyma, i nie wiedzieć jak i dla czego wzrok jego utkwiał na jednej szczególniej.

Szła ona tuż za królową; tak samo jak ta w białą ubrana sukienkę, wysoko niebieską szarfą przepasana. Na główce jej wysoko ufryzowane pięły się włosy bursztynowo złote, do zbytku obfite, bo ich reszta na bicusienkie spadała ramiona, twarzyczkę miała rysów drobnionych, delikatnych, tak jakoś kształtnie utworzoną, że nie można było wiedzieć, co

w niej piękne, co najforemniejsze, wszystko się zlewało w całość cudnie harmonijną, jedną. Niebieskie oczy, trochę surowego wyrazu, przysłaniały rzęsy ciemniejsze niż warkocze, i brwi też nieco wydłużone tej samej barwy były. Ze wszystkich ona była może najmniej roztrzępana, najpoważniejsza, choć nie najstarsza. Widział Sobek, że idąc myślała, jak stąpi i jak się poruszy. Twarzyczka podobała mu się dziwnie, a smutek jej, bo powaga wśród tego trzpiotowstwa niemal smutku miała cechę, — pociągał go ku niej. Zapatrzył się jak w tęczę.

Dziewczęta szły, nie widząc go, i zbliżyły się tak, że koń nastraszony w bok się rzucił, a Sobek, potrzebując go wstrzymać, z rowu i kamienia wstał nagle. Zjawienie się jego przstraszyło dziewczęta, oprócz pięknej królowej i ochmistrzyni, pierzchnęły pokrzykując.

Sobek stał, nie wiedząc, czy się uklonić, czy przeproszać. Wszystkie oczy się zwróciły na niego, jakby im wyrósł z ziemi; zdawały się pytać, co tu robi? kto jest? czy nie rycerz błędny? czy nie zaczarowany królewicz?

Mówiliśmy już, że Sobek był wcale pięknym chłopcem i miał paniezykową postać; młodość mu dodawała wdzięku, nie mógł się źle wydać ciekawym dziewczętom. Najuparciej mu się przypatrywała piękna przewodniczka, a po niej złotowłosa, którą Felis w myśli sobie wybrał... Dziewczęta nie śmiały go zapytać,

ale starsza ochmistrzyni odważnie postąpiła do brzegu rowu i odezwała się z cudzoziemską:

— Pan nie tutejszy? Czy czeka na kogo?

— Tak jest pani—odpowiedział, zdejmując czapeczkę Sobek,—oczekuję na pana Antoniewicza...

Popatrzano nań, usmiechnęły się panienki, coś poszeptały, rzuciły ukradkiem oczami, ale starsza pani dała znak dalszego pochodu, i gromadka pobieżała za nią z podwójną żywocią, jakby dla popisu wyprawiając swawolę.

Głosiki ich wesole, śpiewne, podobne do ptaszcącego gwaru, brzmiały jeszcze w uszach Sobkowi, gdy—na licho—Antoniewicz nadjechał.

— A? to wy!—zawołał—przepraszam, spóźniłem się, — ale mnie Buchowieccy zastąpili na drodze, musiałem wstąpić.

To mówiąc, kłaniał się razem, zobaczywszy zbiegłe z drogi panny, a kłaniał aż stanąwszy na bryczce, aby pokłon uczynić wydatniejszym.

Panny się skryły w zarosła.

— A! to bo aciudziej we wszystkim jesteś istotnie *Felicissimus*. Na samym wstępie spotkałeś i miałeś szczęście widzieć naszą gwiazdeczkę, pannę podskarbiankę z jej fraucymerem! Istny kwiatów wieniec! Nie możesz tedy się żalić, żeś tu na mnie czekał, bo to się sowicie nagrodziło! cha! cha!

Sobek już na gniadym siedział i za bryczką jechał, wprost do dworku pana sekretarza Morochońskiego. Gdy stanęli tu, gospodarz właśnie był w ganku. Piękny, niestary jeszcze mężczyzna, stał w bok się ręką ująwszy, i zdala wesoło witał Antoniewicza, bo z nim byli przyjaciółmi wielkimi.

— Cóż to za kawalera z sobą prowadzisz? pięknym głosem, jasnym, mówił Morochoński. Cóżes to *salvum conductum* potrzebował, by się do Terespoła dostać?

Poczęli się ścisnąć, a tu i Sobek do ganku się zbliżył. Antoniewicz widząc o nim uprzedził.

— Witam—ozwał się Morochoński.—Pan podskarbi już parę razy zapytywał o niego, a to wielka *raritas*, że pamiętał. Rozgłoszę się proszę u mnie. Ja nieboszczyka cześnika ojca waszego znałem i kochałem go, więc się to dobrze składa, bos mi nieobcy; a konia oddaj, proszę, do mojej stajni, a izdebka się tu dla waćpana znajdzie. Do pałacu pojechawszy, nabrałbyś się kłopotu, a do pana podskarbiego wątpię, byś trafił. Więc lepiej idź za moją radą.

Sobek podziękował i posłuchał chętnie, bo Morochoński i twarzą, i mową, i obejściem się swem ujął go od razu. Oblicze miał piękne, otworzyste, spokojne, zwiastujące charakter łagodny zarazem i energiczny. Antoniewicz i on siedli zaraz w ganku rozmawiać, bo ten

sejmik brzeski, choć do niego czasu jeszcze dosyć było, wszystkich ogromnie zaprzętał. Chciał na nim koniecznie i uparł się marszałkować podskarbi, a weale u szlachty popularnym nie był, już dla tego, że znaczna jej część wpływowi Radziwiłłowskiego domu ulegała, już że w nim Sasa czuli i ów tytuł grafowski, nie swój, równości szlacheckiej był solą w oku. Nie było to więc łatwem zadaniem tak Brzescian uchodzić, aby Flemingowi popędliwemu i nieumiejącemu się kłaniać ani pochlebiać funom szlacheckim, dali sobą pokierować i stanąć na swem czele. Ufano wiele rozsypanym po trosze, różnemi tytułami, pieniądzom, szczególnie na przyjęcia i uraczania, choć i na to podskarbi skąpym był, a dużo sypać nie chciał.

Gdy Antoniewicz z Morochowskim po ciachu się tu naradzali, aby potem zgodnie z sobą Flemingowi zdać rapporta, Sobek z pomocą służby pana Morochowskiego, konia postawił, do gościnnej izdebki rzeczy swe zniósł i opośdał nieco stanąwszy, aby rozmowie nie przeszkadzać, bo się do niej mieszać nie chciał, miasteczku się przypatrywał.

Jak z dala i zewnątrz, tak też tu we wnętrzu swem Terespol inaczej się wydawał, niż zwykle małe miesciny, Żydów w nim było mniej, za to Niemiec na każdym kroku. Tych z samego stroju poznać było łatwo, z kapeluszów,

z guzów, z pluder i kaftanów, i z tego rodzaju kwasnej miny, którą Szwaby z sobą zawsze noszą... Tu czując opiekę grafa, jeszcze twardzeniu do zgryzienia wyglądali, choć, jak wiadomo, wszystko to było proste chłopstwo, na wysadki do Polski posprowadżane. Grunt im tu jakoś nie posłużył, i mało co się z tego na ów czas zostało.

Po naradzie Antoniewicz do pałacu poszedł, a Morochowski pozostał i zaraz się obejrzał za Sobkiem. Jak to najczęściej bywa na świecie, Morochowski od razu chwycił Felisia za serce, i wzajem chłopak mu się podobał.

— Nie wiem—rzekł,—czy dziś się panu podskarbiemu zaprezentować będzie można; ale pocziwy Antoniewicz, jeśli się zobaczy z nim, wspomni o waćpanu!... Cóż myślisz z sobą, chesnikowiczu?

Sobek był zwykle szczery, a do Morochowskiego czuł się nsposobionym tak, że jeszcze śmielej się postanowił przed nim otworzyć.

— Znał-ci pan dobrodziej ojca mego—począł,—nie potrzebuję więc mówić o tem, że wysoko osobistą swoją swobodę szacując, wolał w domu chleb razowy, niż pańskie pulpety. Ja po nim coś wzięłem z tej natury.

Morochowski popatrzał nań bystro.

— Pozwólże sobie powiedzieć—odezwał się, że co na starość i wytlómaczone i słuszne, to



w młodości grzeszne być może. Człowiek godność swoją szacować powinien, ani słowa, ale służba u panów ma swe korzyści.

— Jakie?—zapytał Sobek.

— Uczy karności, pokory, porządku, posłuszeństwa—rzekł Morochoowski. U takiego pana, który człowieka nie poszanuje, służyć nie warto; ale u innego, choćby żelazną rękę miał, nałamać się nie szkodzi.

Uśmiechnął się Morochoowski.

— Krzyczą już u nas na te teranie się ubogiej szlachty naszej po pańskich dworach—mówił dalej.—Do księcia chorążego w Białej, gdzie za ładą kaprys do wieży posyłają, i po lat dwadzieścia trzymają w okowach bezkarnie, nikomu iść nie życzą; lecz u naszego podskarbiego, choć łaje, zżyma się i krzyczy; szkoła dla młodzieży dobra.

Sobek nie miał co odpowiedzieć.

— Człowiek jest gorący, lekko czasem nas szanujący, bo do innego porządku nawykł, ale w gruncie dobry. Nie wątpię, dodał, że waćpanu służbę dworską u siebie zaproponuje, a ja bym mu życzył, skoro szkoły skończyłeś, łaciny masz trochę i rękę dobrą, u mnie zostać przy kancelaryi. Ja skryptora potrzebuję, a przepisując, nabędziesz formy, i dalej...

— Ale ja do palestry ochoty nie mam!—przerwał Sobek.

— Ani ja zachęcam—rzekł Morochoowski.

Nie idzie za tem, abys w papierach siedział całe życie, a obeznać się z niemi potrzeba. Znajdą się okazyje, to folwarki opatrywać, to z interesem pojechać, ludzi dużo poznać, stosunki pozawiazywać.

Mówiąc, patrzył ciągle pan Morochowski na Sobka i czytał z jego twarzy, że go nie bardzo przekonał; przerwał więc nagle i spytał:

— Cożes waćpan myślał wprzód z sobą zrobić, nim się ta okazyja poznania państwa podskarbiego trafiła?

Sobek się usmiechnął.

— Jeszczem właściwie nic był nic postanowił—rzekł. Ojciec mój niedawno zmarł. Mam czterech chłopów w Trzcieńcu, ziemi nie osobliwej, ale szmat, chciałem sobie na niej gospodarzyć.

— Toby cię do niczego nie doprowadziło—odezwał się Morochowski,—to się na nic nie zdało. Zardzewiałbyś w tej dziurze, i Maciek posiał, Maciek zjadł, zrobićbyś nic nie potrafił. Ubogi, musiałbys chyba z Tucznej lub Huszczy zagonową szlachcianeczkę wziąć, dzieci by przyszła kupa, i—nędza!

— A tu co ja zrobić mogę?—spytał Sobek.

— Ba! wszystko! pieniądze, żonę bogatą, dzierżawę, zastawę, wójtowstwo, urząd mieć możesz, byle łaska pańska była!!

Tak ugadując Sobka, niby z wypadku po wieczerzy, że mu amanuensa zabrakło, popro-

sił Morochowski gością, aby mu już skoncypowany krótki list do kancelaryi wojewody ruskiego przepisał.

Sobek siadł, a że rękę miał dobrą, list prędko, czysto, wyraźnie i bez błędu skopiował, który pan Morochowski wzięwszy, ucieszył się widocznie.

— Na próbę-m acindzieja wziął—rzekł,—przepraszam, wyszedłeś z niej gracko. Najrozumniejsi ludzie czasem brzydko i nieforemnie piszą. Charakter masz piękny, i to potrzebne...

— Niewielka zaleta z tego!—odparł Sobek.

Rozeszli się potem na spoczynek, bo godzina była późna. Z rana Feliś do gniadego poszedł, ale go znalazł i napojonego i obrok zasypany, a stajenny Morochowskiego upewnił go, iż doglądać będzie pilno.

Około dziesiątej Morochowski szedł do kancelaryi palacowej, i wziął z sobą pana Felicyana.

Jeszcze do niej nie doszli, gdy powracającego z pola i folwarków na małej bryczce resorowej, ogromnemi końmi ciągnionej, spotkali Fleminga.

Podskarbi zaraz wysiadł żywo, krzycząc coś Morochowskiemu, na co on z flegmą i chłodną krwią odpowiadał. Spojrzał na Sobka i rzucił się ku niemu, bo go poznał.

— Jak się ma cztery chłopcy?—zawołał. No? a co? Chce u mnie zostać?

— Jeśli się zdam na co—odparł skromnie Sobek.

— U mnie w kancelaryi miejsce jest—wtrącił Morochowski, a pisze pięknie.

To mówiąc, dobył wczorajszy list i pokazał. Fleming go oczyma przebiegł i oddał.

Potrząsał głową.

— Nawykł na wsi się kręcić—rzekł,—nie można go do stolka przybijać, nciecze. Niech trochę pisze, trochę jeździ... Znajdzie się robota. Maliszewski (marszałek dworu) niech acana na mój etat zapisze...

— Ja tego dopilnuję—odezwał się Morochowski,—ojca jego znałem, mam obowiązek nim się zaopiekować.

Skinął głową pan Fleming i dodał:

— Polski szlachcic niepracowity, trzeba *Fleiss* mieć! Bez tego nie, i do ordynku (porządku) nawyknać.—Bez tego nie!

Nie już Sobek nie odpowiadał.

— Na cztery chłopcy nie się nie zrobi—a na dwie ręce z jednym głowem, dużo!!

Począł się śmiać.

W ganku stało kilku obywateli, oczekujących na podskarbiego; pospieszył do nich, a Morochowski wzięwszy dyspozycję, poprowadził młodzienca swego do kancelaryi. Tu zastali w izbie gołej, ale czystej, za ogromnym stołem suknem obitym, trzech chłopaków, a raczej dwu wyrostków pod wodzą ogromnie dlu-

giego młodzieńca, piegowatego, z konopias-  
tym włosem. Wszyscy oni, nie wyjmując  
ostatniego, byli synami officialistów podskar-  
biego. Błady i jasnowłosey, zwał się Wyrzy-  
kowski; ten to niby rej wiódł, lecz dosć nan  
było popatrzeć i porównać go do Sobka, ażeby  
przepowiedzieć, że mu miejsca ustąpić będzie  
musiał. Zapewne przeczuwając to, piegowaty  
spojrzał na wchodzącego z trwogą razem i gnie-  
wem tłumionym, bo już o nim wiedział.

— Pan Felicyan Sobek—a to pan Ksawery  
Wyrzykowski — rzekł wchodząc gospodarz.  
Niech się ichność poznają, bo się często o siebie  
ocierac będziecie.

Sobek się skłonił, poczuł, że nie był pożą-  
dany, lecz porozumienie się na później zo-  
staawił.

Zmłujcie się, listy czy gotowe?—rzekł  
Morochowski, zbliżając się do stołu.

— Wszystko w porządku!—sucho i sztywno  
rzekł głosem ostrym Wyrzykowski.

Obok wielkiej izby była pomniejsza dla  
sekretarza; do tej z sobą wziął p. Felicyana  
przybyły, a oczy kancellistów poszły za nim  
zazdrosne. Z młodszych, jeden korzystając  
z tego, że go nie widziano, pokazał dwie figi  
odchodzącym; drugi się skrzywił dziwacznie.  
Wyrzykowski nadęty, pogardliwym wzrokiem  
strzelił za sekretarzem i siadł zamaszysto, aż  
ława pod nim zatrzęszczała. Podparł się na

stole, zadumał... Klienci, którzy oczekiwali na Morochowskiego, zaczęli się cisnąć; kancelarya się napełniała, Wyrzykowski nadawał sobie minę człeka, który gra rolę znaczącą i wie o niej.

Sobek z robotą daną sobie wyszedł z bocznej izdebki i na rogu stołu się do niej zabrał. W milezeniu mierzyli go oczyma towarzysze broni, Wyrzykowski tylko jak siedział tyłem, tak się nie odwrócił.—Było to wypowiedzenie wojny...

Wszędzie na świecie nowoprzybyły nowicyat odbywać musi, rzadko gdzie spotka przyjazne twarze i usposobienia przyjacielskie; miejsce sobie zdobyć potrzeba, obronić go, zżyć się, dać poznać. Towarzysze lękają się przybysza do jednej misy, trwożą się, aby ich nie odjadł z łaski starszyny, a że nowe sitko często na kołku bywa, stareby go chętnie na ziemię ściągnęły.

Pan Felicyan, który nowicyat szkolny przebywał, znał się już na tem. Pierwszego dnia nikt do niego nie gadał, drugiego szukano już przyczepki, potem Wyrzykowski spróbował go w oczach naczelnika podać w posądzenie. Morochowski był człek bysty i umiał się obchodzić z inłodzią; na pierwsze słowo Wyrzykowskiego go zamknął mu usta.

— Daj pokój, panie Ksawery—ja znam Sobka i wiem, co może. Życzę z nim być dobrze. Miejsca ci nie zabierze, bo pewno tu długo nie posiedzi. Uczciwy chłopak i zdolny...

Przez cały dzień potem namyslał się i gryzł pióro Wyrzykowski, a pod wieczór mimo wstętu zdecydował się, gdy wychodzili z kancelaryi, zacząć Sobka.

— A pan dokąd pójdzie teraz?

— Wrócę do dworku — rzekł Felieyan.

— To możebyśmy się przeszli po tej sędenteryi?

Zdziwiony nieco propozycją, nie odrzucił jej cześnikowicz.

— Czemuż nie? rzekł,—chodźmy się przejść. Dokąd?

Wysoki blondyn piegowaty, który „teksty światowe” dla panien z fraucymeru przepisywał, i jak niepozorny był, tak strasznie kochliwy,—rozśmiał się i jedno oko przymrużył. Zdawało mu się, że pozyskać serca nowego towarzysza, z którym mu dobrze być kazano, nie mógł lepiej, niż wiodąc go na pokuszenie płci pięknej.

Poufnie więc do ucha się pochyliwszy, aby wyrostki wychodzące z kancelaryi tego nie słyszały, szepnął Sobkowi:

— Gdy panna podskarbianka po ogrodzie chodzi z pannami, to nam tam nie wolno, ale

ja wiem takie miejsce za płotem, z którego wszystko widzieć można.

— A cóż my tam zobaczymy?—rozśmiał się Felicjan.

— Cały fraucymer i podskarbiankę—dodał okiem mrugając Wyrzykowski.

— Ale z za płotu?—spytał Sobek, któremu to stanowisko niebardzo było do smaku.

— No, to co? kiedy tam wszystkim chodzić wolno!

Sobek poszedł. W istocie po za rowem i parkanem, odgradzającym ogród pałacowy, szła tam drożyna nikomu niewzbroniona. Wyrzykowski jak był z razu niedostępny i milczący, tak teraz poufałą gawędą w przyjaźń towarzysza się wkupiał.

— Piękno są panny—mówił. To prawda, że z podskarbianką to tam żadna w parze iść nie może, ale przecież i inne gładkie.

— Ja podobno już raz wszystkie je miałem szczęście widzieć, gdy do Terespoła przybywałem. Szły z ochmistrzynią na spacer.

Piegowaty zrobił minę zdziwioną i dodał:

— Czasem i za miasto wychodzą—ale rzadko.

Rozmawiając szli dalej. Płot okryty był powieszanemi nan gałęzmi drzew, krzewów, wirginią obrosły i berberysami tak, że przezeń do ogrodu zajrzeć było trudno. Wyrzykowski jednak miał tu z dawna sobie zrobioną lukę, przez którą widac było trawnik, ścieżki,



altanę i szcrocki kawał ogrodu. Ukazanie tej luki było z jego strony niepospolitym dowodem zaufania i życzliwości. Z tryumfem wskazał ją Sobkowi, i umieścił go przy sobie, uśmiechając się. Panien widać nie było, ale szczerbiotanie ich i śmiechy tu dochodziły.

Swawoliły po dziecinnemu, bo też po większej części dziećmi jeszcze były.

— Niech pan postoi!— dodał Wyrzykowski, —a zobaczy, co to będzie!

— A jak nas zobaczą?— spytał Sobek.

— Och mistrzyni nie dojrzy, wzrok ma krótki, no, a panny! Ta one wiedzą, że ja tu przychodzę, za to się nie gniewają, a i na pana też gniewać się nie będą. Mężczyzn rzadko widują, to im miło przez płot się pogzic z nimi.

Wyrzykowski prostował się, pasika podciągał i włosy przyglądał, chciał być pięknym, a to mu było trudno.

Rój dziewcząt jak stado wróbli przeleciał raz po za płotem i zniknął, widzieli tylko rozwiane włosy i białe sukienki; wkrótce potem przybiegł znowu. Jedna z dziewczątek, figlarne stworzenie, pokręciła się, obejrzała ostrożnie, skoczyła do płotu, przyłożyła oko i śmiejąc się, zawołała cicho:

— A kuku?

Wyrzykowski wnet odparł:

— A ja tu!

— A kto z panem?

— Pan Sobek, co dopiero przybył.

— Ten, cośmy go spotkały! wiem! ładny chłopak...

Wyrzykowskiemu to nie w smak było, a Sobek nie słyszał, ale patrzył ciekawie.

— Dawajże pan prędko tekst, coś obiecał, bo jeszcze jejmość starsza zobaczy! a żywo!

P. Ksawery papier, złożony w kształt sereń, dobył z za kontusika, i przez płót go do białych rączek przecisnął. Swawolne dziewecę wnet za gorsik wsunęło, i śmiejąc się pierchło od nich.

— Pan masz tu już widzę blizkie znajomości?—odezwał się Sobek.

— A cóż! To starościanka Tymanówna, jak Boga kocham!--odezwał się Wyrzykowski. Jak laleczka, śliczności!

Właśnie gdy to mówił, zdala się ukazała podskarbianka z ochmistrzyniami dwiema, które jej asystowały, otaczając najtroskliwszą opieką. Tuż za nią postępowała, patrząc w ziemię zadumana, w ustach gryząc kwiatek, ta, którą Sobek, gdy je po raz pierwszy spotkał, wybrał był z pomiędzy wszystkich.

Patrzali skrywszy się za płotem.

— Waćpan je znasz? — zapytał Sobek,—wszystkie?

— Co do jednej!—dumnie odparł Wyrzykowski.

— Ta co idzie za podskarbianką?—odezwał się Sobek.

— Blondynka! o! to podstolanka Sieniawska; a za nią zaraz córka pana Morochowskiego, słiczna, malenka, z wesołą twarzyczką panna Konstancya.

Liczył dalej, a Sobek nie słuchał, bo mu o jedną tylko szło, a tej nazwisko już wiedział.

Panna Tymanówna, która nie sama jedna wiedziała, co się za plotem działo, że na nie ztamtąd patrzano,—rzucała oczyma w tę stronę. Dziewczęta szeptały, wskazując paluszkami ostrożnie, bo a nużby ochmistrzynic defraudacyę straszliwą wytropiły!!

Chciała pono śmicsza nad inne starościanka niby przypadkiem kilka swych towarzyszek podprowadzić w to miejsce ciekawe, lecz dziewczęta się nie dały.

Wyrzykowski napróżno oczekiwał choć „Bóg zapłać,” za papierowe serce, zamykające w sobie wykalligrafowany tekst swiatowy. Przechadzka w inną stronę odciągnęła panny, ogród opustoszał, robiło się ciemno. Panu Ksaweremu też nie chciało się pod plotem siedzieć nadarcunnie, poszli więc napowrót do miasteczka. Po drodze Sobek, którego nazwisko panny Sieniawskiej uderzyło, począł pytać o inne panny, aby w końcu i na tę naprowadzić rozmowę.

— A cóż to za panna Sieniawska?—ode-

zwał się. Jam-ci słyshał, że już tej familii nie ma!

— Pewnie tamtych Sieniawskich, co po hetmanie nie stało—rzekł Wyrzykowski; a to jakaś krewna czy imienniczka, którą Czartorysey się opiekują, i choć nie z tych wielkich Sieniawskich, jednak pewnie ją za jakiego pana wydadzą, bo i posag słyshę ma obiecany..

— Ma rodziców?—pytał Sobek.

— Nie—sierota, ani ojca ani matki, i dla tego ją wzięli Czartorysey, a pan podskarbi od nich, aby się z córką jego wychowywała.

Potein obszerniej się rozwiódł Wyrzykowski o pannie Tymanównie, która na niego była łaskawa i okazując, jak on do tego zręczny był; opisał poufnie Sobkowi, przez jak mądre postępowanie, do zawiązania z nią znajomości i służenia jej tekstami doszedł.

— Takiej drugiej jak panna Tymanówna na swiecie nie ma!—dokończył. Pan się jej przypatrzył?

— Nie bardzo — rzekł Sobek,—tylkom wośoły głosik jej słyshał.

— Ona choc nie najstarsza—dodał Wyrzykowski,—jednak z nich wszystkich najbystrzejsza, a tak się mmie ułożyć, że jeśli kogo, to jej ochinistrzyni nigdy nie złapie!

Sobek myślał, nie bardzo słuchając, więcej o pannie Sieniawskiej, bo ta mu się nierównie i piękniejszą wydawała i ponętniejszą—lecz,

po co było daremnie głowę sobie zaprzętać? Szlachcie o czterech chłopach nie mógł nawet pomyśleć choćby o ubogiej Sieniawskiej, wychowance Czartoryskich... Dosyć było tego, żeby o książęcy ich dom się otarła, aby dla niego niedostępną się stała.

Przeszedłszy się po miasteczku, którego wszystkich mieszkańców i mieszkanki, właścicieli dworów, oficyalistów znał doskonale Wyrzykowski i o nich informował towarzysza,—gdy do domu Morochowskiego się zbliżyli, Sobek pożegnał go.

Wieczór ten, rozmowa, spoufalila ich, Wyrzykowski odszedł pewien, że sobie pozyskał przybysza. Sobek w istocie rad był z nim na stopie przyjacielskiej żyć, lecz szczególnej dla niego sympatii nie miał. Poczciwy Wyrzykowski był, przy odrobinie chytrłości, chłopak wielce ograniczony, a tyleż zarozumiały. Kumać się z nim bardzo Sobkowi było trudno, a wasnić się też nie widział przyczyny ani potrzeby.

Naostatek, pomimo że został z namowy Morochowskiego u dworu, p. Felicyan ani tu sobie obiecywał wiele, ni na tem budował. W duchu zamierzał pozostać czas jakiś, a potem do Trzcienca powrócić.

Pomiędzyinnemi i koń go pożyczany inkomodował. Nie kosztowało jego utrzymanie, bo stał na pańskim obroku, wszelako kupować go nie było warto, a za najem płacić też się na nie

zdało. Przemysłał nad tem, jakby go odesłać, choćby tu przyszło pieszym zostać, gdy się tak trafiło, iż jednego dnia Fleming do Różanki potrzebował wyprawić zaufanego kogoś dla sprawdzenia rachunków, o których doniesiono, iż w nich nadużycia były.

Morochowski nastreczył Sobka, który miejscowe stosunki znał dobrze. Fleming do siebie go powołał, niccierpliwy był jak zawsze, i chciał natychmiast officyalistę wypędzić, precz wyrzucić na gościniec, sekwestrować co miał...

Sobek go z gniewu belkoczącego na wpół po niemieccku, (bo gdy się zapalił, zaraz po swojemu zarywał), ledwie mógł zrozumieć; to tylko wiedział, że trzeba było wpaść inspe-rate, zrewidować spichrze i rachunki, i jak naj-surowiej postąpić.

Dodano mu ze stajni dworskiej masztalerza do posługi, siadł na gniadego i ruszył...

O wstępowaniu do Trzcianca, choć ten mało co był z drogi, mowy nawet być nie mogło, bo szalenie i tam i nazad spieszyć się musiał.

Było też o czem myśleć, jak się do tej sprawy wziąć, aby się sprawiedliwości uczyniło zadość...

Nic spodziewano się w Różance gościa tego, a gdy przed ekonomią stanął Sobek i wszedł natychmiast do izby, ukazując dyspozycję, jaką z sobą przywiózł, ogarnął strach zarządzającego w Różance Waczewskiego, zachwiał się i o mało nie padł.

Człek stary, późno ożeniony, miał czworo dzieci, a całą sperandą wychowania ich—swoje miejsce. Załamał ręce przed Sobkiem, miłosierdzia prosząc; przypadła żona, beczeć zaczęły dzieci.

— Bóg świadek... niewinien jestem!—wołał Waczewski.

— Co mnie nakazano, spełnię—rzekł Felicyan,—a niewinnego gubic nie będę, choćbym sam z nim miał przepadać.

Poszli więc do rejestrow, do śpichrów, po gospodarstwie, zrewidował Sobek wszystkie kąty, nie okazało się nic. Potwarz była czysta, rzucona przez nicjakiego Barchatowicza, który sam się na to micjsce stręczył, a znając Fleminga prędkość, sądził, iż samego podejrzenia starczy na wyrzucenie Waczewskiego.

Spełniwszy w półtora dnia, co mu polecono, i uspokoiwszy nieszczęśliwego ekonoma, Sobek na konia siadł i na całą noc do Terespoła ruszył. Tym czasem owa kalunnia rzucona przez Barchatowicza inną drogą się wydała tak, że Bystry, plenipotent podskarbiego, ze swej ręki posadzonego Waczewskiego oczyścił zupełnie, wykazawszy pobudki denuncyacyi, nim Felicyan przybył do Terespoła.

Fleming uspokojony śmiał się z Morochowskiego i jego protegowanego, że pewnie z wielkiej gorliwości baka strzeli.

Czekał raportu, bo to dla niego była próba

człowieka. Sobek wprost do kancellaryi pałacowej się stawił. Morochowskiego tu nie było, a Wyrzykowski miał rozkaz p. Felicyana zaraz do samego podskarbiego posłać.

Fleming wybiegł do niego do przedpokoju, jagoda lewa mu drgała, jak zwykle, gdy się sierdził lub szydził.

— No, co pan szlachcie cztery chłopcy, co zrobił?

— To, co pan podskarbi przykazał: zrewidowałem gumna, śpichrze, rejestra, wszystko, nic się nie okazało, oprócz złości ludzkiej.

— Nie złodziej? — spytał szydersko podskarbi, — nie kradł?

— Nie, — rzekł Sobek.

— Bo wy patrzeć nie umieliscie! — zawołał Fleming. Po młodemu, szparko, a w kątach co było, nie wiecie.

— Nic! jasnie wielmożny pan poszle kogo innego — dodał Sobek, — jeśli mnie nie wierzy, a drugi raz nłokosa jak ja nie posyła.

Zaperzył się na śmiałą odpowiedź Fleming, ale się począł śmiać.

— *Recht!* — rzekł, — dobrze się sprawił szlachcie cztery chłopcy, dobrze.

I na tem się skończyło, ale tejże nocy końgniady znalezion był w stajni odęty i z nogami do góry, pospieszna podróż była dla niego ostatnią. Felicyan zrozpaczony wpadł do Morochowskiego.



— Al panie—zawołał, zapomniawszy się,— co za nieszczęście! Koń mi padł z tego pospiechu! Gdyby swój, niebym nie mówił, ale się przyznam panu jak ojcu: pożyczony był.

Po ojcowsku rozpytał o wszystko Morochowski, i z tem poszedł.

Wieczorem dostał Sobek assygnacyę do kaszy na dwieście złotych gratyfikacyi i konia pod wierzch ze stajni dworskiej.

Pobiegł dziękować podskarbiemu, ale ten go zburczał, i nabełkotawszy niezrozumiale, poszedł.

— Pan czterech chłopów, koń pożyczany! *Crepirt!* alha! Oto tobie pożyczać...

Ponieważ sprawę gniadego należało uregulować i Grzymałę od ucisku żydowskiego uwolnić, musiał się Sobek wyprosić do Trzcienica choć na parę dni. Dano mu urlop, nie bez wiadomości podskarbiego, gdyż ten o wszystkim wiedzieć musiał; zapowiedział Fleming, aby pan na czterech chłopach pod najsroższą odpowiedzialnością na termin z powrotem się stawiał.

Nowy wierzchowiec, którego za pośrednictwem Morochowskiego dano wybrać z kilkunastu, był maści niepewnej, ni siwy, ni derezowaty, z pręgą czarną przez grzbiet, duży, gruby, z nogami doskonałemi, w średnich już lecach, objeżdżony, troszkę w pysku twardy, lecz wszyscy się na to godzili—żelazny. O te-

go się nie było co obawiać, byle go poić często, gotów był bcz obroku sześć mil kłusować. Kłusa miał ogromnego, a trząsał tak, że go ludzie przeklinali.

Gdy go sobie wybrał, popróbowałwszy Sobek, stajenni śmieli się z niego,—on przecię mu był rad. Utrząśnięcia się nie lękał, a koń zresztą był, że mu równego poszukać. Nie opatrzył się Sobek, gdy go ów „Myszką” przewany wierzchowiec do Trzcienca dostawił.

Grzymała—było to około południa—siedział na przyźbie, między kolanami garnek trzymając, z którego kaszę wyjadał, zobaczywszy jeźdźca, ani się domyslał Felisia. Poznałby go był po koniu, ale na tym nowym, dopiero gdy u wrót huknął, po głosie go poczuł. Padł garnek i kasza ofiarą, bo się zerwał przestraszony i sam do wrót pobiegł...

— Jezu miłosierny! Już uazad! na czym koniu? Cóż się to znaczy? Co się stało?—wołał stary.—Gadajże...

Felis już zsiadłszy, szedł śmiejąc się ścisnąć go.

— No nie! nie gorączujcie się,—odpowiedział,—złego się nic nie stało, tyle tylko, że gniady zdechl.

— Otoż masz!—łamiąc ręce zawołał Grzymała i dłońmi potem oczy zaslonił. Czegom się bał, tegom się nie ubał. Panie Jezu Chryste w rany Twojo!...

Sobek się śmiał, starogo to gniewało, lecz nim doszli do ganku, gdzie już Motruna, Pryśka i Niemowa rękami wyrzucając, na panicza czekali—opowiedział po krótkce przybyły, jak się to wszystko stało i skończyło.

— Tylko cyt, ani pary nie puszczaj, że koń zdechł. Żyd, jak się dowie, zaceni, jak za rajskie jabłko.—Ja konia kupię...

Co była za radość w Trzcieńcu niewypowiedziana, opisać trudno. Nawet stary Borzobohaty przyszedł przywitać, a że u niego tego dnia świeży chleb baba upiekła, przyniósł bochenek pachnący pod pachą.

Grzymała drzwi do izb otworzył, bo czasu niebytności Sobka nic chodził do nich, tak mu tam smutno było. Tegoż dnia stary się wybrał dla ugodzenia z Żydem o konia, a że pieniądze gotowe poniósł z sobą, na widok ich zmiękł Izraelita, i gniady za sto dwadzieścia złotych został nabyty tak, że osimdziesiąt można było na inne długi obrócić.

Dopiero mohorycz zapijając, gdy już wszystko było skończone, przyznał się stary filut Żydowi, że konia na świecie nie ma. Cmoknął dawny jego właściciel, ale co z woza spadło, to i przepadło.

W nocy Grzymała wrócił do Trzcieńca, wesół, rad, i buchnął na swoje listne łóżę jak stał, nawet się nie rozbierając. Chciał co najprędzej Sobka nazad do Terespoła odprawić.

— Widzisz—odezwał się, nazajutrz do niego przyszedłszy rano,—nie ma jak panom służyć i klamki się trzymać. Długo ci to czasu było trzeba, a oto dwieście złotych jak lodu, i kon taki wspaniały, że choć pod królewicza. Już to masę jak masę, dla oka mogłaby być okazał-sza, ale takich dzikich masci bywają najtęższe konie, niejeżdżone.

Sobek nie nie opatrując w Trzeńcu, choć mu wszystko chciał pokazywać Grzymała i koniecznie inęczył, aby z nim chodził po kątach, po śniadaniu się wybrał nazad do Terespoła. Wolał mieć czasu więcej, aby konia oszczędzić i klusem nie jechać, bo Myszka trząsał okrutnie.

Znów tedy dwór był na nogach, i Feliś oczywiście powiódłszy po swem ubogiemu dziedzictwie, ucałowawszy Adama zapłakanego, ruszył do Terespoła.

W niedzielę przed raną naszą już tam był i do kościoła się stawiał, sądząc, że tu się podskarbiemu zaprezentuje.

Na prawdę jednak Fleming, który jak król August II, z protestanta katolikiem został, był nim tylko z imienia. Dla ożenienia z Czartoryską jedną i drugą, wyrzekł się swego luterstwa, ale w sercu religii żadnej nie miał. To mu też nie jedna szlachty, która go widywała w kościele obojętnym i wielce się tem gorszyła. Niemieckie nazwisko, tytuł cudzoziomski i jawne niedowiarstwo obcym go czyniły.

I tej niedzieli nie ukazał się Fleming na mszy, ale za to Sobek miał przyjemność widzieć wchodzący i wychodzący cały fraucymer pałacowy. Znowu się przed nim przesunęła w kruchcie ta piękna jasnowłosa Anusia Sieniawska, którą w sercu za najsliczniejszą miał w świecie. Nawet uroczą piękność podskarbianki nad wiek swój już wdzięczącej się, zalotnej, uśmiechającej, gasła w jego oczach przy Anusi.

I tego dnia był tak szczęśliwy, że przechodząca dziewczeczka, zbliżywszy się ku niemu, podniosła główkę, wlepiła oczy w stojącego jak słup, zmieszanego Felicyana, długo je na nim zatrzymała-ciekawa, i pół-uśmieszek blade, smutny, przesliznął się po jej ustach.

Sobkowi się zdało, że mu się ten uśmiech chyba przywidzieć musiał, a miał on jednak znaczenie. W rozmowie z Wyrzykowskim Felicyan zdradził się niechęcią z wrażeniem, jakie na nim Anusia uczyniła, pan Ksawery codzien pod plotem czatujący na pannę Tymannównę, podobno jej coś o tem nadmienił, a starościanka Sieniawską kawalerem nieznajomym, który się w niej zakochał, prześladować zaczęła.

Niewinna Anusia tym razem chciała się choć przypatrzeć lepiej temu, którego jej narzucano. I wydał się jej bardzo przystojnym. może nawet coś więcej nad to. Szlachetna postać, męskie rysy, jakas duma w wejrzeniu i swoboda, podobały się dziewczeczce.

A że między pannami fraucymeru tajemnica się nie utrzymała żadna, wszystkie ciekawie przechodząc wpatrywały się w Felieyana. Wyrzykowski z konopiasdami włosami, amant panny Tymańówny, nie zyskał na porównaniu. Z niego też i staroscianka i wszystkie nasміcwały się okrutnie, ale dzieciakom, dla których jeszcze wszelkie zbliżenie się z męzeczyznami surowo było zakazane, nawet blady, piegowaty Wyrzykowski był pożądany. Nosił on przepisywane wierszyki, wdychał, płatano mu figle, a gdy czasami wybór młodzieży do tańca na sali bywał przypuszczony pod okiem ochmistrzyni, z Wyrzykowskiego w tańcu zrywano boki.

Rzadko się to bardzo trafiało, by ten wybór dworskiej młodzieży przypuszczony był na pokoje, jednakże w czasie świąt niektórych, gdy brakło tancerzy, a panienki skakać lubiły, wolano w ryzie trzymany dwór, szlachtę wprowadzić, mając ją na oku, niż obcych gości.

Nie każdego też i szlacheckiego rodu uznawano godnym uczestniczenia w tych zabawach, trzeba było do tego nie tylko nazwiska i prozapii, ale pokaźnej miny i pewnej oglady. Podskarbiankę otaczały nauczycielki i ochmistrzynie, po największej części Franeuzki, ton był europejski bardziej niż polski, ale towarzyszkami pauny Fleminzanki, córki szlachty, obywateli, offieyalistów, dla zabawy jej i emulacyi

przyjęte—wnosiły z sobą język i obyczaj domowy.

Pomimo że wychowanie dziedziczki grafa było dosyć surowe, ogólna atmosfera wieku oddziaływała na nie. Po swawoli Augusta II zostały ślady w społeczeństwie, w mowie, w obejściu z kobietami, pożyciu małżeńskim, a nawet w wychowaniu niewieściem. Zawcześniej tam marzono, śpiewano, szeptano o zalotach, i sposobiono się do nich. Francuzkie nauczycielki znajdowały to naturalnem, a szlachta choć zgorszona, modzie powszechnej brać się dawała.

W otoczeniu podskarbianki, która wielkiej używała swobody, dziewczątka też niecierpliwie oczekiwały emancypacyi, rozpowiadano sobie wiele. Ochmistrzynie wiedziały i mówiły półgłosem o tem, że pani staroscina rostkowska, Tymanowa, owdowiałego podskarbiego za nos wodziła. Nie czyniono z tego tajemnicy. Córką jej wychowywała się z panną podskarbianką.

Jednego wieczoru zdziwił się trochę Sobek, gdy mu Morochowski zaproponował, aby z innymi dworskimi poszedł na pokoje, bo panny w gry grac miały, i młodzież do nich była przypuszczona.

— Nie potrzebuje waćpanu dawać przestrogi—dodał, — ażebyś się skromnie znajdował i był ostrożny. Dziewczęta wesole, trzpioto-

wate, ale to są dzieci jeszcze; trzeba je mitygować więcej, niż im do swawoli pomagać. Podskarbianka bardzo jest wesoła, — czasem aż nadto...

Ponieważ było do woli pozostawione korzystać z tego pozwolenia lub nie panu Felicyanowi, rozmyślał dosyć długo, czyby nie lepiej było w domu zostać; nie miał nawet zbyt wytwornego ubrania, a do kobiecego towarzystwa wcale nienawykły, lękał się go. Przemogła w końcu ciekawość, a może i inne jakie rodzące się uczucie i choć z bijącym sercem, wziął na siebie najlepszy a jedyny żupanik i kontusz. Wyrzykowski strojny, wypucowany, pachnący szafwią w niedostatku innej woni, przyszedł zabrac go z sobą. Skromnie i ubogo się przy nim wydawał Sobek, lecz się tego nie wstydzik. Poszli razem do pałacu, gdzie w wielkiej białej sali, pod nadzorem dwóch ochmistrzyn, bony i guwernantki, już panny się znajdowały, Francuz nauczyciel tańca, figurka jak z parawana, i kilku muzykusów.

Miały być gry towarzyskie i trochę tańca, którego figury kawalerom na prędko Francuz Bichon pokazał.

Sobek niewtajemniczony został z boku. Że nieznanym tu był, oczy dziewcząt zwróciły się nań natrętnie, a że przystojny, zatrzymały się chętnie na nim.

Wyrzykowski napróżno się naprzód wysuwał.



Parę razy swawolna Tymanówna przeszła mu pod nosem nócąc, udając, że go nie zna, z instynktem prawdziwie niewieścim nadstręczając się jego admiracyi...

Zdała panna Sieniawska też nie patrząc, przyglądała się owemu kawalerowi, którego jej nastęczano. Poczęły się gry zwykłe, biegane, cenzurowany, pierścioneł.

Sobek nie należał do nich z początku, ale jedna z młodszych dziewczątek pochwyciła go z kąta i wyciągnęła, czy także instynktem, czy namówiona przez którąś starszą—zgadnąć było trudno. Stało się jakos, że zmuszony kręcić się i niejsce zmieniać, na chwilę znalazł się przy Anusi, która się uśmiechnęła i słiczne mu pokazała ząbki. Lecz uśmiech ten na jej poważnej twarzyczce był czems takim niezwyyczajnem, gościem tak niespodzianym, że natychmiast z niej zniknął. Wielkimi tylko niebieskimi oczyma śmiało w oczy popatrzała Sobkowi, któremu nadto drogie było to spojrzenie, ażeby chciał go uniknąć. Tak naprzód poznali się tą niemą wejrzeń zamianą.

W następnym zwrocie gry Anusia, na przekór tym, co ją przesładowały, sama wybrała pana Felicjana. Przybyło mu odwagi, zuchowstwa i wesołości, i już potem uczuł się jak w domu, nie obawiając wcale.

Do tańca tylko nie poszedł, bo go nie umiał

i chciał mu się przypatrzeć wprzód. Tu pan Bichon dokazywał cudów, a czując się w swym elemencie, popisывał się z baletniczymi sztuczkami, którym starsze panie dawały oklaski. Pełen próżności mistrz tańca doskonale był śmieszny, i Sobkowi wydało się, że mężczyzna w tych skokach powagę całą tracił,—lecz inni nie mogli mu się wydziwić.

Podskarbianka pod jego wodzą wykonała cudnie parę tańców solowych, z nadzwyczajnym wdziękiem i swobodą. Dzieweczce było to tak właściwe, iż się tem zachwycić było można, gdy obok niej Bichon wydawał się niemal jarmarcznym pajacem.

Sobek oparłszy się o ścianę stał, gdy panna Anna podała mu rękę do tańca.

— Niech mi pani daruje—rzekł kłaniając się,—otwarcie powiem, że nie umiem tańcować, a panna podstolanka lepszego niż ja warta towarzysza do tańca.

Dziewczę spojrzało mu bystro w oczy i rzekło żywo:

— To się pań naucz tańcować, ja poczekam!

Dziewczyna ta grzeczność Anusi, która istotnie, nikogo już nie biorąc, siadła w kątku i patrzyła, jak się inne zwijały, wzięła za serce mocno czesnikowicza, kilka razy popatrzał na nią, nie unikała i teraz spojrzenia, owszem śmiało odpowiadała na nie, lecz gdy inne miały

w oczach swawolę i zalotność przedwczesną, podstolanka taka była przy tem poważna, jakby do każdej swej czynności niezmierną wagę przywiązywała.

Wyrzykowski puszczał się śmiało w skoki, bo Francuz go osobno był wyuczył figur i kroków, lecz że niezgrabny był, długi, a strój polski nie bardzo się do francuzkich krygów nadawał, śmiano się z chłopca, który wesołość tę za dobrą monetę przyjmował.

Uznojony stawał potem w kącie, dobywał chusty ogromnej i ocierał czoło pracowicie, zwyciężko oglądając się dokoła.

Przy podwieczorku, który potem nastąpił, panna Sieniawska znalazła się niedaleko od panna Felicjana, jakby się jego oczom chciała nastręczyć, co go mocno konfundowało. Dziewczę w ten sposób brawowało swe koleżanki, szczególnie Tymanównę. Gra ta zdawała się niewinna, Sobek jednakże rozmarzał się, a i ona sama, nie wiedząc co czyniła, poczęła znajdować narzuconego jej kawalera najprzystojniejszym i najprzyzwoitszym ze wszystkich.

Nikt na to nie zważał, oprócz panny Tymanówny, nad wiek swój bystrej i złośliwej.

Znalazła ona sposób zbliżenia się do pana Felicjana i choć zupełnie mu nieznajoma, szepnęła:

— Niech pan się w Anusi nie kocha, bo ona ma być mniszką. Ja—to nie!!

I niekła.

Zkąd tę złośliwą groźbę wzięła panna starszianka, Bóg ją wiedział, ale niezmiernie rada była ze splatanego figła. Sobek się mieszał, słówko wyrzeczone uwięzło w nim głęboko.

Nie zastanowił się nad tem, że panny do zakonów przeznaczone, wychowywały się tylko w klasztornej zacieszu i uczyć się gawotów i menetów nie potrzebowały.

Zawczasu skończyły się zabawy, pan Bichon dał znak mężczyznom, że się mieli żegnać, wszyscy się bardzo pięknie pokłonili, podskarbianka z obu stron paluszkami ujawszy spódniczkę, dygnęła im, Anusia oczyma pożegnała Sobka, i młodzież wyszła z pałacu. Wyrzykowski szczęśliwy był, jakby go kto na sto koni wsadził. Należał on do tego rodzaju ludzi, co nigdy o niczem, a najmniej wątpią o sobie. Przyznać potrzeba, że czasem takim właśnie pociesznym kreaturą na świecie się najlepiej powodzi.

Sobek wyszedł z głową spuszczoną, raczej smutny niż szczęśliwy, choć mógł się cieszyć, ale on dalej myślami sięgał i widział, że z tych dziecinnych zabaw, nigdy nic urosnąć nie może oprócz tęsknoty.

— Ja panu powiem—rzekł, poufale biorąc go pod rękę Wyrzykowski, pan jest trochę niesmiały. Czemu ja? widział pan, jak dokazywałem! Panna Tymanówna dała mi w grze

klapsa, co mnie jeszcze pali jak ogniem! Nie ma jak starościanka, jak Boga kocham, to dopiero kobieta kiedyś będzie,—klękajcie narody!

P. Felicjan nic na to nie odpowiedział.

Zbliżał się sejmik brzeski, przygotowania do niego wkrótce całego Fleminga pochłoneły, miała też do czynienia kancelarya. Że Sobek dosyć znał (przez ojca) stosunki w okolicy i pojętnym był, nieustannie go tu i owdzie porysowano, osobliwie tam, gdzie pisać się i nie chciało i nie było bezpiecznie, a z ustnem poleceniem poufnem trzeba było dobierać roztropnego i wiary godnego człowieka.

W tych sprawach użyty w początkach na próbę, okazał się Felicjan tak rozważnym, nad wiek swój pomiarkowanym i zręcznym, że podskarbi, gdy tylko coś delikatniejszego było do traktowania, kazał zaraz przywoływać—szlachcica na czterech chłopach.

Przezwisko to żartobliwe już się Sobkowi zostało, za co się nie gniewał, bo pysznym nie był, ani się za innego chciał sprzedawać, niż go Bóg stworzył.

Rósł tem w łaskach u pana podskarbiego, który choć hojnym nie był, obiecywał mu krescytywę, i coraz nowemi zachęcał do pracy gratyfikacyami. Chociaż liczył się zawsze przy sekretarzu Morochońskim i kancelaryi, w is-

tocie częściej był na Myszce pan Felicjan niż u stolika. Dawano mu na ucho instrukcje, ruszał to do Buchowieckich, to do Paszkowskich, to ze słowem jakim do Bystrego, do Linowej, to do Antoniewicza, to za Bug między szlachtę.

Pomimo tych starań i zabiegów, w przejażdżkach swych, przysłuchując się, co szlachta o przyszłym sejmiku i o podskarbin mówiła, mógł zawczasu zmiarkować, że z marszałkowstwem Fleminga na sejmiku kłopot będzie Niemal. Nie tał tego przed Morochowskim, lecz flemingowscy przyjaciele olsnieni znaczeniem i potęgą swojego pryncypała, wierzyć złym wróżbom nie chcieli. Sam podskarbi, który z panami nawykł był się obchodzić tak, jak i Czartoryscy, lekceważąco i dumnie, ani przypuszczał, by ubożuchna szlachta śmiała mu się oponować.

Familia naówczas i adherenci jej wszechmocnymi się sądzili.

W poniedziałek, jakoś ku końcowi Sierpnia, sejmik się miał w Brzesciu agitować, a już w wigilię szlachta zastępami całemi zewsząd się do Brzescia ściągała. Terespol też tego dnia pełniutenki jej był i w pałacu drzwi się nie zamykały, a marszałek dworu Maliszewski, Antoniewicz, Morochowski i sam podskarbi szlachtę częstowali i umawiali się na dzień jutrzejszy.

Wojewoda brzeski Karol Sapieha, który chciał sobie pozyskać Fleminga, bo go był przeszłego sejmiku naraził, nie przybywszy w porę, sam też do Terespolazjechał, z zapewnieniem, iż zagajając narady, podskarbiego do łaski przedstawi.

W górze między panami, zdawało się wszystko łatwem, a tak do przeprowadzenia niewątpliwem, iż Fleming ani przypuszczał, aby mu szlachta czoło stawieć miała. Wojewoda grzeczny a pyszny pan, choć Sapieżyńskiej buty dawnej dużo się ukróciło po Olkienikach, zawsze w znaczny wpływ swój wierzył, podskarbi zaś w Czartoryskich i własną potęgę.

Sobek, który na to z dołu patrzył, i miał zręczność tego dnia dwa razy się przemknąwszy do Brzescia, rozsluchać w tem, co szlachta sobie pomrukiwała, kręcił głową i zamysłony chodził.

Wieczorem, kupami szlachta zaczęła ciągnąć do Terespolu, dobrze podpita, wrzekomo z rewerencyą, a w istocie dla powzięcia języka.

Nadciągnął z jedną kupą pułkownik Matusewicz, którego podskarbi posądzał, że mu nie bardzo sprzyja, submittował się, drwił sobie po trosze, i ze swym pułkiem nad wieczór do Brzescia odciągnął. Doniesiono do pałacu, że ci goście wracając, na moście na Bugu wino sobie przynieść kazawszy, drwili i odkazywali się na Fleminga.

Podskarbi, który miał lepsze niż jego przyjaciele przeczucie, na chwilę zwątpił o daniu następnym, lecz drudzy ani mówić o tem dawali.

Sapieha był swojego najpewniejszy i podskarbi też nabrał otuchy.

Morochowski markotny nicco tem, co mu Felicyan opowiadał o zasłyszanych w Brzesciu przygotowaniach na dzień jutrojszy, choć niepokoju nie zdradzał, jeszcze raz Sobka już późno wyprawił na zwiady.

Brześć, mięscina zwykle dosyć cicha i spokojna, czasu tych paroksyzmów sejmikowych napełniał się taką wrzawą i zalany bywał takim natłokiem szlachty, że niektórzy ichnoście, co się ani po klasztorach, ani w gospodach pomieścić nie mogli, w rynku koczowali. Czeladź panów, szlachta drobna, którą częstowano do upadłego, przy tej zręczności zwykle harce odprawiała z Żydami tak, że i szkołę musiano zamykać, i o straż dla niej prosić, i z kramów się okupować, bo je nieraz splondrowno.

I ta noc się dosyć jakos burzliwie zapowiadała tak, że Sobek, który z chłopakiem jednym stajenym się puścił, na moście brzeskim najprzód pochwycony przez Matusewiczowskich przyjaciół, pić z nimi musiał i drwin słuchać, a naigrawania się z Sasą; potem w miasteczku, konia nie mając gdzie postawić, chłopcu go



dał do przeprowadzenia przed Augustyanami, dokąd zamierzał się wcisnąć, bo tam było największe szlachty *conventiculum*.

W refektarzu u kks. Augustyanów zastał pełno szlachty, a im większy był tłum, tem łatwiej się tam było wcisnąć niepostrzeżonemu. Hałaśliwie tu rozprawiano; a najgłośniej rej wodził pisarzewicz grodzki, Franciszek Kościuszko, ostry człek, znany z tego, że przed nikim nie ustępował.

Kilku Paszkowskich, Piotra Tołoczkę i innych, co w Terespolu nie bywali, i z Wołczy-nem nie trzymali, najrzał Sobek w wesołej gromadce. Wpadł tam właśnie, gdy pisarzewicz śmiejąc się, wołał:

— Sapiężyńskie czasy minęły, a Flegmowskie nie przysły pono jeszcze. My tu na swym zagonie, ojczycowie starzy, żebysmy sobie z pozwoleniem pod nos smrodzić Niemcowi dawali, cobyśmy byli warci?

— Nigdy w świecie!—krzyknął Tołoczko.

— *Tandem*, już dziś w Terespolu tak swojego pewni, jakby nas na świecie nie było,—ciągnął pisarzewicz. Pan wojewoda myśli, że Brześć to Kodeń lub Romanów, a pono się myli. Nie damy się szoldrze!

— Nie damy!—zawołano po całym refektarzu.

— Ino asindzieje animuszu nie traccie—dodał Kościuszko,—zahukać się i zaimponować

sobie nie dawajcie. Pan Fleming, pan w Terespolu i Włodawie, a ja taki sam na Siechnowiczach, i moje kluski tyle warte, co jego *szpek* niemiecki.

Zaczęli się śmiać.

— Niedoczekanie ich! krzyknął Tołoczko.—  
W kaszy się zjeść nic damy.

— A więc słowo, *verbum!* Fleminga do laski nie dopuścić!

Wtem Matusiewicz pułkownik nadciągnął ze swoimi. Wszyscy pod dobrą datą, śpiewający, czapki na bakier.

— Prosto z Terespolu!—krzyknął Matusiewicz,—podskarbi się ichmościom kłania, służby swe polca, i rachuje na was jak na cztery tuzy.

— Aby nie było czterech guzów!—krzyknął Tołoczko, pięść podnosząc.

— Co słychać? co słychać?—przerwał Paskowski.

— Niemcem słychać!—odparł Matusiewicz.

Szlachcic siwy, bez oka jednego, stał i słuchał nie odzywając się; usta mu się czasem wydęły i opadły, ucha nastawiał na wsze strony, wreszcie odchrząknął.

— Mości panowie—rzekł chrypliwie, (był to stary Wereszczaka)—Fleming jak Fleming, to tam o niego nie idzie, przywędrował z Sasów, wróci sobie do nich, bo tu oni nie przyrosną, a no po za nim Wołczyn stoi!

— A w Wołczynie co? zapytał Kościuszko.

— Potencya wielka!—westchnął stary,—co w plecy Fleminga uderzy, to się na księciu kanclerzu odbije, a z nim i z p. wojewodą ruskim żartować niezdrowo.

Zakrzyczano Wereszczakę.

— Stary stchórzył — wołano,—prepotencyi magnatów dosyć już! Jak się szlachta im nie da we znaki, okulbaczą nas i jeździć będą. Niemcowi nauki potrzeba!

Tych i tym podobnych mów się nasłuchawszy, że w refektarzu dla ścisłu zbytniego, mimo pootwieranych okien skwar był okrutny, jak z łaźni wyszedł ztamtąd Sobek...

W rynku nie inaczej wtórowano; bronili niektórzy wojewody, bo Sapiehowie mieli swoich wielu, a Fleminga prawie nikt.

Szoldrą go przezywano, i śmieli się ludzie, niestworzone nań wymysławiając rzeczy. — Nie zwlekając więc, Sobek do konia poszedł i na-  
zad przez most do Tercspola.

Wprost do dworku Morochońskiego zajechał, którego zastał powracającego z pałacu.

— A co?—zapytał stary.

— Prawdę a Bogiem źle się święci.—Zaczął tedy powtarzać, co słyszał, niemal co do słowa pan Felicyan, nie dodając ani ujmując nic. Zdania swojego nie śmiał dawać, bo nic jego to rzeczą było.

— Na darmo by już pono pana podskarbie-

go straszyć,—odparł Morochowski,—Kropiński i Bystry tak go zapewnili, że przed nim wszyscy padną, iż z refleksyą wystąpić, wiaryby nie dano. Niech więc będzie, co Bóg da.

— A tom waćpanu miał powiedzieć—dodał w końcu,—iż pan podskarbi chce go mieć jutro przy sobie nieodstępnym. Będiesz mu więc jako dworzaniu towarzyszył. Z rana się odziać trzeba jak od święta, i pógotowiu być...

Nic dobrego na ten dzień jutrzejszy nie wróżąc, Sobek położył się przedrzemnąć, nagotowawszy na jutro wszystko do rannego wstania. Szarzało jeszcze, gdy Morochowski, który sypiał mało, już go obudził. Trzeba się było przygotować i do pałacu pośpieszać.

Tam też już ruch był wczesny, bo się dwór, kuchnie, służba i co było, gotowało do pochodu. Wozy niektóre już ruszały, inne zaprzęgano, zaszły potem wojewodzińskie konie, kareta podskarbiego, a za nią dworzanie konno w asystencyi. Wprost wszystko do kościoła ks. Jezuitów dążyło, i tu stanęło, gdy właśnie na mszę ranną sygnowano.

Brześć, jakby całą noc nie spał, co po części prawdą było, ruszał się już i ludu pełen, ledwie się powozom dał przecisnąć. W kościele też jezuickim, mino jego wielkości, miejsca próżnego już nie było, i wojewoda z podskarbin przez zakrystę weszli, zasiadając w stalach przed wielkim ołtarzem.

Ztąd na kościół spojrzawszy, jeno głowy wygolone i facyaty wąsate jedne przy drugich widać było, pełnusiénko aż po kruchtę. A choć przy nabożeństwie wszyscy się spokojnie znajdowali, z oczu szlachcie wrogo jakoś patrzyło.

Po mszy świętej *honoratiores*, wojewoda, podskarbi, urzędnicy wojewódzcy, Buchowiecki, Kropiński, Bystry i innych wielu zeszli się w refektarzu...

Na twarzach nie widać było by najmniejszego zakłopotania i wątpliwosci co do skutku.

Sapieha zagaił, iż do laski pana podskarbiego przedstawi, nie przypuszczając nawet, ażeby mógł i osmilił się kto przeciw.

Fleming był w najlepszym humorze, tylko jak zwykle, śpieszył się i gorączkował. Napędzał, ażeby iść co rychlej do Augustyanów, gdzie zwykle sejmiki się odbywały. Posłał się dowiedzieć, czy Sanctissimum wyniesiono, ławy i stoły czy były przysposobione, czy szlachta już tam jest. Dano znać, że tłumnie zalegli kościół ichności i czekają.

Co prędzej więc wojewoda przodem, podskarbi za nim podążyli na miejsce.

Tu, nie dosyć że kościół pelen był, ale przeddrzwiami, na ulicy, wszędzie zalegały gromady szlachty. Fleming tylko nie dostrzegł i nie rozpoznał, że między nimi znajomych twarzy wcale nie było. Sobek, który za nim szedł, wczorajsze fizyognomie upatrywał, i róż-

ne postacie zawiesiste i groźne jakies, niewiadomego autoramentu.

Gdy z wojewodą na przedzie przez zakrytą weszli, dążąc do krzesła i stołu marszałkowskiego,—gwar ogromny, który kościół napełniał, powoli poezął ustawać, oczy wszystkich zwróciły się na pana wojewodę i Fleminga,—Sapieha, potomek hetmanów i kancelerzy, z wielce imponującą postawą wkroczywszy, z góry oczyma zmiorzył zgromadzenie, i majestatycznie do krzesła szedł, przez niewielu ukłoniłami witany. Reszta posępnie patrzała, głów nie skłaniając.

Planem wojewody i podskarbiego było ovladnąć laską i Fleminga kandydatów: Kropińskiego i Bystrego, deputatami dać wybrać.

Sapieha zajął krzesło, a za nim tuż w gotowości stanął Fleming, aby jak tylko się usunie, miejscem jego ovladnął.

Wśród ogólnego mileżenia wojewoda do laski wniósł podskarbiego, i jak to było umówionem, ruszył z krzesła, Fleming nie czekając przyzwolenia, natychmiast się wcisnął, i już się gotował dziękować.

Wtem z za stołu ogromny mężczyzna, Paszkowski, pułkownik przedniej straży, wsa sobie pokręcając, w bok się wzięwszy, krzyknął na głos:

— Nie pozwalam!

Podskarbi czy nie słyszał, czy nie chciał te-

go przyjąć, czy nie zrozumiał, z wdzięcznym ukłonem odezwał się:

— Dziękuję pięknie! dziękuję!

Aż prychnęły śmiechy z tłumu. Paszkowski grzmiącym głosem odezwał się:

— Nie pozwalam na łaskę pana Fleminga! nie pozwalam!

Jakby na dane hasło, z całego kościoła zahuczały głosy:

— Nie chcemy! nie pozwalamy!

Był to jakby piorun dla podskarbiego, który rzucił się gniewnie, szukając oczyma tych, co podtrzymywać mieli, uderzył oburącz o stół. Siadł na krzesło i plując a zzymając się, nie ustępował. A tu burza w kościele rosła, partyzanci podskarbiego, widząc ogromną większość przeciwko sobie, nie puszczali głosu...

Paszkowski, a za nim inni chórem, krzycząc, wyjąc, drwiąc, wołali:

— Nie chcemy! nie pozwalamy!..

— Niemce, wynos się, pókiś cały!

— Precz z Sasem!...

— Do Drezna!—wołano ze wszech stron.

Bystry i Kropiński stojący obok, pobledli.— Bliżej podpierająca szlachta bez względu zadnego, rwała się do krzesła, które z pod Fleminga wychwytywano.

Podskarbi za szpadę już porywał, gdy Bystry go powstrzymał.

— Na miłość Bożą! źle będzie!

Wtem krzesłem przyparto Fleminga do stołu, a zdala śmiechy się rozległy.

Pozycja była krytyczna.

Coraz więcej twarzy nieznanych zupełnie gniewnych, szyderskich, widział podskarbi cisnących się tuż; tracił z gniewu przytomność.

Tołoczko mu prawie w ucho wlaższy, krzyknął:

— Do Saksonii!

— Jak się ty nazywasz? — wrzasnął Fleming.

— A ty cos tu za jeden, że z nami grasz w tyczki? — zakrzyknął Tołoczko; kułak podnosząc.

Z drugiej strony Paszkowski, który pierwszy rozpoczął, śmiejąc się ukazywał na drzwi.

— Póki czas, na świeże powietrze.

— Jak się ty nazywasz! — wołał już prawie nieprzytomny podskarbi.

— Lepiej się nazywaam od ciebie, — zawrzał Paszkowski.

— Procz z szoldrą!

W tem pisarzewicz grodzki Kościuszko, z drugiej strony oparłszy się o stół, począł historyjkę.

— *Probatum est!* ja ichmościów nauczę, jak się Sasów wyprawia do domu. Oto, mości dobrodzieju, czasu ostatniego interregnum, gdyśmy jedno głupstwo nasze pochowali, aby drugie po nim zrobić, wybierając Niemca, choc



przysłowie mówi, *non bis in idem*,—przyjeżdża mi Sas do wioski i zaczyna gospodarować. Szpek!—dalej *Brud!*

Kościół się rozlegał śmiechami, słuchali wszyscy, Fleming ani uciekać nie mógł, ani się skryć, ani obronić. Oczy zwracano na niego.

— Dawaj szpek! dawaj brod, dawaj butter! Niczego mu nie było dosyć! Dają mi znać do dworu, że Sas egzorbitancye wyprawia u mnie! Siadam na konia zobaczyć, co się tam dzieje, a bizun wziąłem z sobą. Patrzę—prawda, Sas mi plondruje po chatach. Jak go gwiznę nahajem grubym na trzy palce przez łeb:—A będziesz ty mi tu bruździł!—aż padł na ziemię.—Dopiero ja go po pludrach jak nie wezmę ciemięży!

— A do Saksonii... ty jakiś, nie rządzić się tu w naszym województwie!

To mówiąc, patrzył w oczy podskarbiemu, a wszyscy śmiechem ogromnym, piśkiem i hałasem wtórowali.

— A do Saksonii!

Wśród takiego wzburzenia umysłów nie było już co robić, ustąpić koniecznem się stało. Bystry i Kropiński ciągnęli, zaklinając podskarbiego, ażeby się mitygował. Wrzawa i krzyki przerażające napełniały kościół, wojewoda już był uszedł przez zakrystyę.

Flemingowi laska dygotała w rękę; podniósł ją i począł w stół bić—wołając głosem drżącym:

— Żegnam!

— Nie żegnaj, boś nie witał! krzyknęli otaczający!—Precz! precz.

Paszkowski, który stał najbliżej i huczał najśmielej, nasunął się na podskarbiego tak, że ten z laską się rzucił na niego, zapominając przestroóg, z impetem wielkim.

Wtem z drugiej strony Tołoczko wołać począł.

— A pókiż to tego będzie! póki ty tu będziesz szlachtę poniewierał! ty, jakis!

I dobył szabli,

Nie było niebezpieczniejszej rzeczy przy wzburzonych umysłach nad ten sygnał bojowy; na widok żelaza, dobywał go każdy, a ucho-  
waj Boże, krwi kropla pociekła, szak ogarniał wszystkich...

I tu się tak stało, szelest dziwny i brzęk rozległ się po całym kościele, kto żyw w ścisku szerpetynę wyciągał, Bystry i Kropiński pierwsi drapnęli.

Widząc niebezpieczeństwo, Sobek nie namyslał się i rzucił na ratunek podskarbiemu w samą porę. Ale nim dobiegł do niego, szlachta wzburzona, zajmująca ławę z tyłu, miotając się, obaliła ją, padli wszyscy z grzmotem wielkim na ziemię. Fleming rzuciwszy laskę, chciał przez łączących przeskoczyć i upadł. W tejże chwili, czternastoletni chłopak, wisus, syn regenta Laskowskiego, przyskoczył i kilka razy

dziecinną szabelką w plecy go rąbnął. Pchnięty przez pana Felicjana, toczył się na szlachtę, a Sobek schwyciwszy pod ręce podskarbiego, jak był silny i zręczny, tak go trzepiącego nogami w powietrzu, do zakrystyi zaniósł i drzwi natychmiast zatrzasnął.

Z kościoła wrzask okrutny slychac było; szlachta dobijała się i gonila. Miał jeszcze tę przytomność Felicjan, że przełękłego i oszalałego z gniewu podskarbiego, wyciągnął w korytarz, do pierwszej celi z nim wpadł, i zaryglowawszy ją, na straży stanął z szablą dobytą.

Wszystko, co było na sejmiku Flemingowskiego, uchodziło, pierzchało na łeb, na szyję.

W miasteczku popłoch, przestrasz, trwoga, jak czasu pożaru, szlachta z dobytymi szablami, Żydzi bramy zatarasowują, w ulicach tłumy jak fale, to się w jedną to w drugą stronę miotają.

— Fleming! szoldra! Dawaj go tu! Na szablach go rozniesiemy! Dać mu szpeku!

Ktoś z adherentów podskarbiego, czy z rozumniejszych ludzi, aby wzburzoną szlachtę ukłysać, puścił wieść, że Fleming na prostym wozie już dawno do Terespolu, słomą nakryty uciekł.

Dopiero się jedni do Jezuitów, drudzy po gospodach, na zamek, i w różne strony rozplwać zaczęli.

Podskarbi leżał jak nieprzytomny na łóżku w gorączce; Sobek tymczasem sam na sam z nim zostawszy, hajduka Franca, Niemca, co żywo po konie i karete wyprawiał, rozkazując mu, aby zajechała na tylny dziedziniec Augustyanów, z kądem mogli się łatwo dostać do gościńca i odwiedzić podskarbiego do Terespoła. Gwałtowna tego była potrzeba, gdyż wzruszenie nadzwyczajne, przestrasz, gniew, wstyd wreszcie, w gorączkę rzuciły Fleminga, tem gwałtowniejszą, że sam temperament jego powiększał ją jeszcze. Podskarbi leżąc w celi zrywał się, majaczył, za szpadę chwycił, pieścił się, czy wywracał i prawie konwulsyi dostał. Nie było przy nim w tej chwili nikogo oprócz Sobka jednego, gdyż Kropiński, Bystry i wczorajsi doradcy, zagrożeni szablami, pochowali się, gdzie kto mógł, po najnniejszych dziurach, i żaden nie pokazał nosa.

Bystry, jak był dosyć otyły i ciężki, nie zważając na to i na wiek swój, a na skwar sierpniowy, pieszko się przedarł tyłami do mostu i do Terespoła, pierwszy alarm przyniósł, lamentując, że Fleminga rozsiekano w kościele.

Tymczasem przytomniejszy i mężniejszy od innych Sobek, wodą rzeźwił, okładał i uspakajał podskarbiego, a gdy Franc dał znać, że konie na tylnym dziedzińcu już stoją, podniósł Fleminga, szablę dobytą w rękę jedną wziął, drugą pod pachę chorego, Francowi go ka-

zawszy też podtrzymywać, i tak z nim przez puste szczęściem korytarze, doprowadzili do karety. Chciał na koźle siąść Sobek, ale Fleming go zmusił, ażeby przy nim miejsce zajął, franki zapuszczono, woźnicy dano rozkaz, choćby cwałem byle za Bug się dostac i w żadnym razie nie dać powozu wstrzymać. Oba-  
wiał się bowiem, nie bez przyczyny p. Felic-  
cyan, ażeby snijąca się w ulicach, podpiła  
i swoim tryumfem oszalała szlachta, na drodze  
nie napadła podskarbiego.

Szczęściem, nie spotkali się większych, a po-  
jedynczo przechodzący na powóz nie nacierali,  
sądząc, że próżny powraca.

Wrzawa tylko, śmiechy i śpiewy towarzy-  
szyły im do mostu. Fleming na poły nieprzy-  
tomny leżał na ręku p. Felicjana...

Tak, w wielkiej trwodze naostatek poczuli  
po huku, że byli na moscie, a gdy ten ustał,  
domyslili się, iż do Terecspola przybywają. Tu  
oknem głowę wysadziwszy Sobek, krzyknął na  
hajduka, aby starego doktora Millera natych-  
miast do pałacu zawezwał i wprowadził.

Stanęła kareta w ganku; szczęściem, że pod-  
skarbiance nie powiedziano nic o wypadkach,  
bo Fleminga •miotającego się w passyi i bez-  
silnego zarazem, na ręku prawie wynieść z niej  
było potrzeba. Największym gniewem, oprócz  
na szlachtę, którą z błotem mieszał, miotał się  
na tych podskarbi, co go tak haniebnie w nie-

bezpieczeństwie odbiegli. Bystrego, który się zjawił z potarganą głową, w rozmamanym kontuszu, bladego, na oczy nawet nie chciał przypuścić i precz mu iść kazał.

Nadbiegł stary Miller, który choć biegać nie umiał, a powaga doktorska na to mu nie pozwalała, tym razem dreptał co mógł, bo się niezmiernie nastraszył. W istocie było czego: pochwyciwszy za puls, znalazł go tak poruszonym, iż tej minuty krew puścić musiał i w łóżko się kłaść kazał, zapisując uspakajające leki.

Tak spełniwszy powinność swoją, Sobek, gdy się już tu niepotrzebnym widział, wycofał się, aby spocząć, bo i sam był zmęczony na śmierć, strapiony a na siłach z gorąca, pragnienia i niepokoju doznanego upadał.

W ganku nań czekał już Morochowski i cały tłum dworaków, co w Brześciu nie będąc, nie wiedzieli z pełną, co się stało.

Wiesci chodziły szkaradne, lecz Sobek w tym tłoku różnych ludzi opowiadać nie nie chciał, i Morochowskiego na bok wzięwszy, temu jednemu wyśpiewał, jak do tej smutnej przyszło alternatywy. Zgryzł się pan sekretarz, lecz po czasie była desperacya wszelka, musiano milczeć i gorzką ową połknąć pigułkę.

Najsmutniejszym ze wszystkiego był stan pacyenta, który despektu mu wyrządzonego zniesć i pogodzić się z myślą doznanych afrontów nie mógł. Wpadł w gorączkę podskarbi,

tak, że Miller, wedle ówczesnej medycyny, nic innego nie mogąc wynaleźć na umitygowanie tak strasznej aprehensyi, krew jeszcze raz puścić musiał.

Leżał pan podskarbi kilka dni z łóżka nie wstając. Tymczasem poszły listy do Wołczyna, do księcia kanclerza, rozeszła się wiadomość o sejmiku po województwie całym, w którym Czartoryscy dość swoich mieli adherentów. Głównym sprawcom groziła zemsta ciężka, która szczególnie Matusewiczom dała się we znaki, bo im później zadano i dowodzono chłopstwo, i ledwie się ze sprawy tej nierychło, z wielkim kosztem, upokorzywszy się Czartoryskim, mogli oswobodzić.

Kościuszko, Tołoczko i Paszkowscy uszli cało, chociaż nie bez znacznych utrapień i niebezpieczeństwa.

Wcale się Sobek ani myślał przechwalać tem, że podskarbiego ratował, ani sądził, aby za to miał być wynagrodzonym. Pierwszą jednak myślą Fleminga, gdy ozdrowiał, było kazać go przywołać do siebie.

Sądził Felicyan, że go znowu dokąd, a najpewniej do Wołczyna wyprawia z językiem, bo tam już nieraz bywał; w progu ujrzawszy go Fleming, którego znalazł zmienionym mocno, usmiechnął mu się i głowę skinął.

— Szlachcie cztery chłopcy mnie ratował:

słuszna rzecz,—odezwał się,—abym ja to pamiętał.

Pochodził po pokoju zamysłony, i stanął na-przeciw Sobka.

— Żebyś się nie rwał odemnie zaraz, tobym ci dzierżawę dał; ale sobie ekonomia weź, a u mnie zostań.

— Ja panie grafie—odezwał się Sobek,—nie mam czem za dzierżawę płacić.

— Już ona zapłacona—rzekł Fleming... Od twoich czterech chłopów do Kapłonosów nie daleko. Bierz Kapłonosy, z pierwszego roku kwita!!

Sobek się skłonił do kolan.

— A potem po roku, puszczyć tanio. Tylko proszę mi siano i słomy do domu nie wywozić, na miejscu zjeść, żeby był *drek*. Zły gospodarz, co paszę sprzedaje. Rozumie szlachcic czterech chłopów?

— Rozumiem.

— Wół, owiec, świnia, niechaj je w Kapłonosach i na zdrowie im i wam.

Sobek dziękował znowu.

Wtem Fleming rulon dobył z kieszeni i wcisnął mu w rękę.

— Masz urlaub na dwa tygodnie do Kapłonosów, a potem proszę do mnie wracać!

Klapnął go po ramieniu.

Sobek jak pijany wyszedł, nic wiedząc, co ze swem szczęściem pocznie. W ganku go



Morochowski pochwycił ścisnąć, bo już wprzód o wszystkim wiedział.

— Widzisz, kochanku—rzekł,— ot, jak się czasem człek dorabia, kiedy Pan Bóg pomoże. Teraz masz wioskę w kieszeni, bo mam cię za cztery litery, jeśli się jej nie dorobisz na takiej dzierżawie! W czepkuś się rodził!

Winszował i Wyrzykowski, ale kwaśno.

Lat upłynęło kilka, dużo się też rzeczy zmieniło między Terespołem a Kaplonosami.—najbardziej jednak pono zmienionym był ów Feliś Sobek, który z domu o jednym kontusiku wyruszył na pożyczanym koniu, a teraz!!

Ani go było poznać. Na całe Podlasie i bodaj województwo brzeskie nie było większego eleganta i wytworniej się noszącego człowieka nad niego. Z jednym tylko panem Janem Aleksandrem Kraszewskim, chorążym pancernym, który na dworze hetmana Branickiego najczęściej bawił, a owego czasu słynął z nadzwyczajnie wyszukanego stroju, nie mógł iść o lepsze.

Być może, iż miał wprzód żyłkę do tego cześnikowicz, lecz gdy dzierzawa Kaplonosów szczęśliwie iść zaczęła, puścił sobio cugle trochę, i choć w tem rozrzutnym nie był, młodzież go za wzór brała, tak wiele miał smaku i wykwintności w ubiorze. Był to czas właśnie, gdy

strój stary na gwałt zrzucać poczęto, Czartoryscy, Poniatowscy, Fleming, Mniszechowie, Brühlowie, wszystko co się o dwór ocierało i do dobrego tonu miało pretensye, przebierało się po niemiecku, albo raczej po francuzku, bo to co się u nas zwało niemieckiem, Niemcy z Francyi zapożyczyli.

Namawiano i Sobka, ażeby perukę włożył, szpadę przypiął i w pończochy się ustroił, ale tego on uczynić nie chciał, już przez samą pamięć na ojca nieboszczyka, i przez wzgląd na starego Grzymalę, któryby go w tej metamorfozie nie poznał.

Oprócz pięknego stroju, w koniach począł się kochać chesnikowicz, a że i w tem mu się szczęściło, przychodził do nich bez wielkich kosztów i miał dosyć a pięknych.

Więc i Trzcieniec teraz inaczej zaczął wyglądać, bo się i tu polepszyło, inwentarz urósł, piątego chłopca osadzono na pustce, ugory orać zaczęto.

Ze starym dworem tylko niewiedzieć co począć było, zbyt długo opuszczony, reparacyi gruntownej jużby nie wytrzymał, obalić go nie chciał za nic Sobek, i popodpierawszy a parę izdebek schludniej urządziwszy, Grzymale w nim wygodę wszelkie zapewniwszy, dojeżdżał niekiedy, aby sobie dawne przypomnieć czasy.

Oprócz Motruny, której się zmarło, i Pryś-

ki, którą wziął Antoszek od Borzobohatego Niemowa po dawnemu i Grzymała deptali ścieżki stare. Pan Adam gospodarzył, chodził, gderał, o ile mu wiek jego pozwalał. Czasem nawet do Kaplonosów dojeżdżał, aby tam na ekonomia nagałdać, bo Sobek więcej przy dworze, na koniu, w pałacu i za sprawami pańskimi się kręcił, niż swoich mógł pilnować.

Szczęście mu się, lecz jak najczęściej bywa, pomyślność zazdrosnych i nieprzyjaciół robiła. Oprócz Morochowskiego, który mu sprzyjał wielce, jak się zwykle kocha rąk swoich dzieło, inni nań z ukosa patrzali i nosami kręcili. Bystry, który u Fleminga wiele znaczył, bo mu był potrzebny i zasługiwać się a pochlebiać umiał, nie lubił Sobka, Wyrzykowski go nie cierpiał, chociaż dyssymulował,—temu się to szczególnie nie podobało, że go postawą, elegancyą, tonem zagasił i zakasował, po francuzku się nauczył z pomocą Bichon'a, po niemiecku też szwargotał nieźle, i na pokoje chodził, coraz tam lepiej przyjmowany. Najdumniejsi panowie, jak starzy Czartoryscy, którzy ze szlachtą czasem bywali szorstcy bardzo, pięknego kawalera tego estymowali. Być bardzo może, iż się do tego przyczynił rozgłos nadany dawnemu splendorowi rodziny Sobków Brochwiczów, bo się nie zapierali Radziwiłłowie, że z nich znaczne dobra wzięli. Z przypadku raz ode-

zwał się przy księciu chorążym z tem Sobek, a Radziwiłł, choć bardzo dumny i nieprzystępny, przeświadczywszy się, iż z tych samych Sobków był, z którymi się ich dom raz zkolli-gacił, pół żartem, pół seryo, nazywał go „kuzynkiem”.

Pomimo tak pochlebnego tytułu, ani chciał, ni myślał Felicyan podskarbiego rzucać, a do Białej się przenosić. Było tam onęgo czasu niekoniecznie zdrowo. Wiedziano w Kodniu, w Terespolu i w Wołczyń, że książę chorąży gdy się rozgniewał, to nie tak jak Fleming, który do oczów skakał i łajał, ale dyssymulował, a jednego pięknego wieczora kazał *ad fundum* szlachcica wrzucić, i dawał mu gnić w więzieniu.

Wiedziano i to, co sobie pozwalał faworyt ks. chorążego, ów przechizta Wolski, łowczy jego, który w passyi ludzi wieszał i po kilkaset batów im walił. Choć książę Floryan napomykał „kuzynkowi,” iżby go przy sobie rad miał, bo ludzi zdolnych w Białej do zbytku nie było i łatano się często pożyczanymi, Sobek się tam przenosić nie myślał. Trzymały go też w Terespolu i niebieskie oczy panny podstolanki, w które jak w prawdziwe niebo się wpatrywał.

Miłość ta wzięła się nie wiedzieć jak, ludzie ją rozdmuchali, a potem żyła przez to samo, że była czysta i piękna.

Pan Felicjan, choć się tak stroić i występować lubił, płochym nie był, do kobiet się nie rwał wcale, ani się im dał pochwycić. Nie miał on żadnej nadziei, aby sierotę, którą się opiekowali Czartoryscy, mógł kiedy zaślubić, ale przeto poczeiwie jej kochać nie przestawał.

Na owe czasy, gdy siła było romansów pięknych, których lepiej zamilczeć, ów cichy romans panny podstolanki był istną osobliwością, ale i ona sama nie miała sobie równej.

Towarzystwo to, wśród którego się wychowała, nie wyjmując panny podskarbianki, wielce wesołego i żywego temperamentu, miłości o których słyszało dużo, na które patrzyło choć z dala, miało niby za zabawkę. Anusia poważniejsza z natury, z serdecznych affektów żartów nie stroiła. Czytała ona dużo dawnych pono rycerskich historyj, i musiała z nich zaczerpnąć pojęcie, charakterowi swemu właściwe, tego co się—miłością zwalo.

Gdy pan Felicjan dostawszy Kaplonosy, począł się stroić, języków przyuczać i na pokoje chodząc, a na nich, dzięki pi knej postawie i twarzy, całę pańsko się prezentował; miał coraz więcej zręczności spotykać się z panną podstolanką.

Bichon nauczył go tańcować, więc teraz nie lękał się menueta, ni żadnego tańca cudzoziemskiego. Wszystkie ochmistrzynie, guwer-

nantki i bony z powodu, że ładnym chłopcem był, protegowały go.

Nie uszło też oczów ich, a nadewszystko niezmiernie bystrowidzącej podskarbianki, że się Sobek kochał w Anusi, a ona w nim. Gdy ten affekt, z którego się śmiano i żartowano z razu, potrwał rok i dwa, zaczęto go szanować, bo się heroicznym wydawał.

Nikt naówczas, nawet dzieci, do affektów na długą metę nie były nawykłe. Panna starościanka Tymanówna, dawno porzuciwszy Wyrzykowskiego, już z trzeciego adoratora drwiła sobie jawnie. Inne panienki także łatwiotętko sercem dysponowały. Dwie z nich wyszły za mąż, żeby wdziać rogówkę, i być paniami domu, za starszych dużo od siebie, i cale nie do kochania ichmosciów, choć innym były poprzysięgły.

Podstolance już dorastającej także stręczono kilku. Starał się o nią jeden Suzin, wies mający piękną, już dla jej pięknych oczu, już dla wołyńskiej protekcyi. Była to partya świetna dla panny, którą z łaski tylko Czartoryscy wyposażyć obiecywali. Podstolanka odmówiła. Odmówiła też przysłanemu przez księżnę wojewodzinę, z zaleceniem mecnasowi majątnemu, który nieszpętnie wyglądał, a znaleźć się umiał.

Owa miłość stała, tajemna niby, choć wszystkim wiadoma, obudzała silne zajęcie i współ-

czucie, podskarbianka niezmiernie się nią bawiła i koniecznie chciała—uwieńczyć.

Gdy się na pokojach zjawiał cześnikowicz, wszystkie panny i starszyzna starały się o to, aby mógł bez przeszkody zbliżyć się do podstolanki. Trzpioty młodsze nastroczały się do noszenia poselstw pomiędzy nim a podstolanką, gdy daleko od siebie byli.

Może też istotnie uszanowanie obudzało uczucie, które z wielką godnością i powagą nosiła w sercu Anusia. Miała ona od dzieciństwa jakieś ruchy, obejście się, postawę i ton starszej pani. Świeża i młodziuchna, chodziła i mówiła jak matrona, nigdy się najmniej nie dopuszczając płochości.

Rozmowy jej z cześnikowiczem też samą cechę miały poważną i uroczystą; potrzebabyło lat całych, aby one z zupełnie obojętnych doszły do dwuznacznych, a naostatek do otwartych wyznań.

Możeby nawet cześnikowicz nigdy nie miał odwagi ustami potwierdzić, co oczy jego od dawna oświadczyły, gdyby się dziewczątka trzpiotowate nie podjęły pośrednictwa. Najwięcej do tego przyczyniła się ciekawa, żywa, niecierpliwa jak ojciec, piękna podskarbianka, której było więcej wolno niż innym.

Ona to osobiwie prześladowając Anusią cześnikowicza, wymogła z niego wyznanie affektu, odniosła je podstolance, i nawzajem wydobyła

zapewnienie przywiązania od Anusi. Ona potem zbliżyła ich, i skłoniła, że sobie poprzy sięgli. Bawiło ją to nieczmiernie.

Ale później już się i podskarbianka czem innem zajmowała, bo potrzebowała coraz czegoś nowego, coby żywy jej umysł karmiło—gdy ów dziecinny romans Anusi z cześnikowiczem dalej a dalej się sobie ciągnął.

— Cóż ty zrobisz, gdy cię zmuszą iść za innego? pytały dziewczęta panny Anny.

— Jakże mnie kto do tego zmusić może! odpowiedziała spokojnie Anusia.

— To cię do klasztoru zamkną!

— I w klasztorze gwałtu mi nikt nie zada. Będziemy czekali.

— Aż do starości.

— Choćby do siwego włosa.

— A on?

— On tak samo jak ja czekać będzie, dał słowo.

— Mężczyzna! zdradzi cię!

— Nieprawda! odpowiedziała chłodno pod stolanka: on nie jest jak inni, ja go znam, ja mu wierzę.

W Wołczyńcu, nie wiadomo może o tem, co się tu działo, los też sierotki wziętej z łaski na wychowanie, przez poszanowanie nazwiska, tak dalece nie obchodził Czartoryskich. Włókło się to tak aż do czasu, gdy pomiędzy Flemingiem a wojewodą ruskim nastąpiły po



tajemne układy, o wydanie hrabianki Izabelli za wojewodzica ks. Adama.

Rzecz to była postanowiona już, szło tylko o to, ażeby podskarbiankę przygotować do maryażu, który tak był świetnym, iż nie mógł znaleźć opozycyi. Nie chciano jej zadawać gwałtu. Wpadło naówczas na myśl księżnie kanclerzynie, aby podstolanki użyć do insynuacyi. Jeszcze o wydaniu za mąż hrabianki Izabelli nie było mowy w Terespole, gdy jednego dnia przyszedł bilet od księżny kanclerzyny do panny Anny, a razem z nim ekwipaż z Wołczyna, z panią Żuchowską, ochmistrzą, wzywający podstolankę, aby natychmiast tam przybywała.

Ponieważ w bilecie nie było mowy, ani czy powróci nazad do Terespolu, ani dla czego ją w Wołczynie mieć chciano, popłoch się stał wielki.

Pani Żuchowska przybywszy z tem wieczorem, nazajutrz rano pannę z sobą zabierać chciała. Ulękła się o los protegowanej pary podskarbianka, a że jej to zajęcie bardzo było miłe, zaczęła się krzątać, ażeby się nie rozstali nie widząc. Potrafiła więc tak jakoś nastroić swoje Francuzki, że na wieczór zabawę urządzono, a cześnikowiczowi o niej znac dano.

So bek już wiedział o groźnym wypadku, bo

mu go ze szczególną satysfakcją doniósł Wy-  
rzykowski, śmiejąc się i zapowiadając.

— Oho! już my tu podstolanki nie ujrzy-  
my! Biorą ją do Wołczyna. Tyle ją oczy na-  
sze oglądały. Słyszę tam dla niej wyprawa  
gotowa, indult, het, precz wszystko co się na-  
leży, i pan młody czeka!! Jak Boga kocham!  
Żuchowska mówiła pod sekretem.

Można sobie wyobrazić, jak to ścisnęło serce  
Sobkowi, choć tego po sobie poznać nie dał,  
pobladł tylko nieco, poszedł się ubrać czarno,  
i na pokoje do pałacu pośpieszył.

Zdala już zobaczył podstolankę siedzącą,  
wyprostowaną, z twarzą jak zawsze wypogodzo-  
ną, bladą, ale z wyrazem energii na niej i silnej wo-  
li. I on też po sobie strachu pokazać nie chciał.

Łatwo mu się było przybliżyć do nie,  
a podskarbianka dla zabezpieczenia rozmowy,  
śmiać się i chichotać głośno bardzo poczęła.

— Przysłano po pannę podstolankę? zapytał  
cześnikowicz.

— Tak jest, odparła spokojnie.

— Niewiadomy powód?

— Nie—nic nie wiem. Żuchowska też zakli-  
na się, że nie wie o niczem.

— Tu się wieści rozchodzą, że tam na pan-  
nę podstolankę czeka już narzeczony.

Anusia spojrzała mu w oczy.

— Bardzo wątpię, odpowiedziała; ale choć-

by tak było, nie wydadzą mnie mimo woli, bądź waćpan spokojny.

— Panno podstolanko dobrodziejko, począł zniżając głos Sobek: jeżeli się ta jej absencya przedłuży, Bóg mi świadek, ja tu z tęsknoty przepadnę.

— Mnie też będzie tęskno, odezwała się Anusia,—ale miłość to niewielkiego walurowa, co próby swej stałości wytrwać nie może.

Cześnikowicz zaprzysiągł, że nie tylko ten, ale stokroć cięższe eksperymenta gotów jest przetrwać i nie uleść, prosił jednak o pozwolenie, czyby pod jakim pozorem do Wołczyna się nie mógł dostać.

Na to zezwolono. Nastąpiła potem wymiana pamiątek jakichś, i Sobek kokardę w kieszeni na sercu umieścił, czego, oprócz podskarbianki (bo ta wszystko widziała), nikt nic nie dostrzegł.

Wszystkie koleżanki pięknej Anusi postrzegły to, że tego wieczora, zamiast wydawać się przygnębioną i smutną, miała w sobie coś nadzwyczaj uroczystego, jakby istota skazana na męczeństwo, która z godnością chce je znieść i czuje się niem zaszczyconą.

Oczyma dodawała mężstwa daleko mniej zrezygnowanemu cześnikowiczowi, a gdy się przyszło rozchodzić i za rękę ją wziął do pocałowania, ścisnęła jego dłoń szepcząc:

— Mężtwo potrzeba mieć!

Nazajutrz rano, gdy pani Żuchowska zabrawszy podstolankę, ruszyła do Wołczyna do dnia, aby cztery mile te przed obiadem jeszcze zrobić, znalazł się na gościńcu Sobek<sup>o</sup> na najładniejszym swym koniu, niby przypadkiem, i przy drzwiczkach powozu kłusując, spory kawał bohdankę swą przeprowadził. Ale o tem oprócz pani Żuchowskiej i ludzi z Wołczyna nie wiedział nikt.

Smutnych dni kilka upłynęło w Terespolu, a podskarbianka figlarnie coś szeptała czesnikowiczowi, pocieszyć się go starając, gdy jednego wieczoru cale niespodzianie zjawił się ów ekwipaż wołczyński znowu, a z niego wysiadła pani Żuchowska i podstolanka.

Radość była wielka. We dworku o przybyciu panny Anny nie wiedziano nic, gdy litościwa podskarbianka pajuka popchnęła do miasteczka i kazała mu powiedzieć czesnikowiczowi, aby wieczorem przyszedł do pałacu. Wesołe dziewczę chciało mu uczynić siurpryzę i cieszyło się nią zawczasu, ale chłopak języka nie wstrzymał, i wypaplał się. Spęzła więc na niczem niespodzianka—lecz nie mniejsze było szczęście, gdy Sobek ujrzał wesołą, ale zawsze wielce poważną twarzyczkę, która mu się uśmiechnęła zdala.

— Panna podstolanka przybyła do nas w gościnę? na długo?—zapytał.

— Sądzę, że zabawię—o! aż póki się ztąd

wszystkie nie rozjedziemy! — tajemniczo odparła Anusia.

Bawiono się tego wieczoru doskonale. Sobek wyszedł śpiewając. Nazajutrz markotno mu było, że go wyprawiono z poleceniami do Włodawy, lecz służba wolność traci.

Sprawa powierzona Anusi daleko była łatwiejsza, niż ona sama sądziła, podskarbiane chciało się wyjść w świat, podróżować, być swobodną, usmiechało się jej życie, a mogłaż je świetniej rozpocząć, niż u boku pięknego księcia, po książęcemu wychowanego, miłego i znanego jej od dzieciństwa kuzynka?

Domyslała się już pewnie wprzód tych układów familijnych, będąc domyslną we wszystkim, i gdy jej nazajutrz pomału zaczęła napomykać coś Anusia, zamknęła jej usta uściskiem.

Pani Żuchowska odjechała, i wszystko po dawnemu szło znowu.

Lecz pobyt w Wołczynie choć krótki, nie był bez następstw, których podstolanka nie przeczuwała.

Do rezydencji Czartoryskich naówczas, jakby pielgrzymi z całego kraju, ciągnęli z różnych stron szlachta, panowie, klienci domu, lub ci, co nimi być pragnęli. Nie było dnia bez gości, bez narad, bez pokłonów i traktowania o sprawach różnych. W czasie pobytu podstolanki nadjechał do Wołczyna jeden

z Sosnowskich, rodziny, która się właśnie wybijała ze szlachectwa w górniejsze strefy.

Owego młodego Sosnowskiego oczy zwróciła na siebie panna Anna, nietyle pięknoscią może, co nazwiskiem i stosunkami do książęcego domu. Nie bacząc więc na to, iż posag się po pannie wielki nie obiecywał, osnuł sobie projekt starania się o rękę Anusi.

Przez dwa dni nie odstępował od niej, akkom modując się wielce księżnie kanclerzynie i dając poznać, że mu panna w oko wpadła. Dalej jednak to nie zaszło.

Sosnowski odjechał do swoich, chcąc familię wybadać, czy przeciwną nie będzie, a panna Anna do Terespolu wróciła, o niczem nie wiedząc. Wprawdzie wejrzenia strzeliste pana Sosnowskiego mogły jej coś dać do zrozumienia, lecz ona tego rozumieć nie chciała.

Wkrótce potem wojewodzie ruski stawil się w Terespolu, i już tajemnicy z tego nie czyniono, po co tu przybywał.

Fleming starzał, rad był scislejszym jeszcze węzłem połączyć się z domem, którego losy podzielać musiał, rad więc też był i przyszłemu córki maryażowi. W Wołczynie obawiano się może trochę jego coraz większego przywiązania do starościny Tymanowej, tembardziej, że ta pani bardzo zręcznie około własnych chodziła interesów—ale Fleming dając sobą kierować, do mezaliansu jednak dopuścić

się nie był zdolny. Rola jego polityczna tak była związana z robotami Czartoryskich, iż przed projektem wydania córki, już się tylko ich narzędziem i pomocnikiem wydawał.

Sobek wysłużywszy Kaplonosy na owym nieszczęsnym sejmiku brzeskim, chociaż łask podskarbiego nie stracił, i owszem rósł w nich widocznie i do najtajemniejszych był przypuszczany konszachtów, nie posuwał się już wyżej. Zajmował na dworze toż samo stanowisko nieokreślone, na którym stanął od razu. Pomagał Morochowskiemu w kancelaryi; zmuszony był i niechętnemu dla siebie Bystremu posiłkować w sprawach wielu, co zawsze niepomyslnie wypadało; jeździł po dobrach, w ostatku i na sejniki bywał komenderowany, gdy coś gotować przyszło lub odwracać.

Dawało mu to poznać bracię szlachtę, jednalo przyjaciół i konsyderacyę. Niejeden przez niego i próbował, i potrafił coś wyrobić u podskarbiego.

Nie zmieniło to charakteru Sobka, który otwartym pozostał, gdy o niego samego chodziło, a mileżeć umiał, gdy o cudze szło sprawy.

Właśnie w tym czasie pomiędzy podskarbin a Potockim starostą trembowelskim, toczyła się sprawa, która maluje dobrze owego czasu stosunki. Był pan starosta dziedzicem Pratoлина, wioski, z której zachciało mu się zrobić miasteczko. A że bez Izraela nie ma miasta



i miasteczka, i bogaty Żyd zaraz około siebie skupia ludzi i interesa, wziął Potocki z Włodawy od Fleminga namówionego, majątnego, obrotnego, ale wielce zuchwałego Anszela. Na nim jako na kamieniu węgielnym Pratolin miał stanąć.

Od czego jednak zaczął ów osiadły w Pratolinie spekulant, domyslećby się trudno. Pod Pratolinem płynie Bug, a Bugiem się splanwia klepka i bale. Anszel mając jakieś pretensye do swych współwyznawców handlujących drzewem, Żydów szereszowskich i terespolskich—zatrzymał im towar na rzece.

Stało się to z rozkazu Potockiego, a podskarbi był naówczas marszałkiem trybunałskim. Sprawa Żyda pratolińskiego z Żydami terespolskimi stała się sprawą pana Potockiego z Flemingiem. Roszczono protensye za drzewo przeszło czterdzieści tysięcy złotych. Fleming otrzymał kilka dekretów i zabierał się tradować dobra pratolinskie. Trzeba się więc było układać! Użyto sprężyn różnych, aby Fleminga przez Czartoryskich skłonić do układów; zgodził się impetyczny zawsze podskarbi na zjazd dla traktowania w Konstantynowie, i kazał z sobą jechać Sobkowi.

Znalazłszy w nim taką powolność do załatwienia sprawy przyjacielsko, Potocki chciał się sianem wykręcić, dawał za mało, Fleming porywezy zażądałszy wiele, słuchać już więcej nie



myśląc, pod wieczór gniewny ruszył do Wołczyzna, a potem do Szereszowa, dokąd i Sobka ciągnął z sobą. Tymczasem tradycya nad Pratolinem wisiała. Używano środków różnych dla pokombinowania stron obu, a że Sobka widziano u boku podskarbiego i w wielkiej z nim konfidencyi, Żydzi się potajemnie do niego udali.

Byłby może pośrednictwa w sprawie się podjął, gdyby wedle ówczesnego obyczaju, Anszel, sądząc, iż trafił na pospolitego officialistę, nie szepnął o porękawicznym, ofiarując złotych tysiąc. Skutkiem tej propozycyi stary Anszel za drzwi wyleciał. Zrobiło się larum wielkie na ekonomii w Szereszowie, gdzie się to działo, i gdzie podskarbi natenczas przebywał; o mało Żydów nie pobito, ale Fleming uczciwego chłopca w większą jeszcze niż kiedy wziął konsyderacyę.

Anszel tymczasem trafił do pana Bystrego i z nim się potajemnie ułożył, aby z podskarbim skończyć, a Bystry, który nie cierpiał Sobka, bo się w nim obawiał współzawodnika, skorzystał z okoliczności, aby heroiczny postępek ożesnikowicza wcale innem swietle wystawić. Nie domyślał się niczego pan Felicjan, gdy po wielkich owych łaskach nastąpiło ostudzenie. Podskarbi nie odzywał się do niego i unikał.

Nigdy się zbytnio o fawory nie starając,

zniósł to Sobek cierpliwie, czekając, aż się wyjaśni. Tymczasem mu bóty szyto.

Morochowski, przed którym taili się ci, co faworyta wysadzić chcieli, o niczem nie wiedział, ale dopatrzył się zmiany w postępowaniu. Po kilkakroć podskarbi, posłyszawszy Sobka nazwisko, skrzywił się i splunął; raz nareszcie odezwał się:

— Dajcie mi z nim pokój! To ptaszek!

Pan sekretarz, posłyszawszy to, tegoż dnia zapytał otwarcie Felicjana, czem się podskarbiemu mógł narazić? Ten o niczem nie wiedział, i pojęcia nie miał.

W istocie pan Bystry postępowanie z Żydami odmalował w świetle innem i zaręczał, że Sobek grubszej od nich summy żądał. Niełaska pańska nagle spadająca na niedawnego faworyta, poczęła i innych odstręczać od niego. Radzić na nią nie było można, bo przyczyny nie znano. Zachmurzyła się atmosfera. Sobek zaczął myśleć już, że i Kapłonosy, na które żadnego nie miał kontraktu, mogą mu odebrać, i ze dworu się go pozbyć. Zniósłby był tę przeciwność mężnie, gdyby nie—podstolanka. Wygnanie z Terespoła znaczyło rozdział wiekuisty.

Jednego więc wieczoru, rozmyślając o tej zmianie losu swojego, powlókł się na pokoje. Wśród zabawy znalazła się chwila do rozmowy. Stał smutny przy Anusi.

— Panno Anno, dobrodziejko moja—odezwał się,—muszę się jej poskarżyć. Złe jest ze mną: pan podskarbi, przez kogoś zapewne nabechtany przeciw mnie, zupełnie mnie z łask wypuścił. Tylko co nie widać jak i dzierzawę stracę, i każą mi może ztąd iść precz—co wówczas mam poczynać?

Panna Anna spojrzała nań.

— Waćpan wiesz, że stałym umysłem z przeciwnościami walczyć potrzeba. Więcej mu nie powiem. Losy się zmieniają, ludzie nie powinni odmieniać.

— Tymczasem panna podstolanka zapomnisz o mnie!—odezwał się cześnikowicz.

— Nie czyni mi pan tej krzywdy, byś o mnie wątpił,—rzekła panna z powagą,—ja mu słowa danego dotrzymam!

Uspokoilo to nieco cześnikowicza, a obawy okazały się nieusprawiedliwione, Sobka nie odprawiono, nadto był potrzebny. Postradał tylko dawne zaufanie, i został w cieniu.

Już się i wesele w Wołczynie odbywać się mające przybliżało, do którego ogromne czyniono przygotowania, gdy znowu nagle przysłano od księżny kanclerzyny po podstolankę. Na ten raz strach już nie żartem owładnął cześnikowiczem, nastraszyła się i panna, bo pani Żuchowska szepnęła jej poufnie, że o Sosnowskim dla niej była mowa.

Gdy dowiedziawszy się o tem, przybiegł pan

Felicyan do pałacu, zastał podstolankę z twarzą zarumienioną mocno, poruszoną i widocznie niespokojną. Sama się ku niemu zbliżyć starała.

— Wiożę mnie do Wołczyna — odezwała się, — a mam wiadomość, że nie bez celu. Kancelrzyna, dobrodziejka i opiekunka moja, ma dla mnie projekta, lecz nie wiecale o inklinacyi serca mego. Mężnie więc stanąć muszę, i wszystko jej wyznać. Życzy mi dobrze, jest i była dla mnie drugą matką, nie wątpię, że ją skruszę.

— A jeśli się nie da skłonić?

— To i za nikogo innego nie wyjdę, a czekać będąc na waćpana, — dodała spokojnie podstolanka. Możesz waćpan pewien tego być, i gdyby przeciwnie chodziły wieści, proszę im nie dawać wiary.

Wyjechała podstolanka, a tym razem nawet już jej przeprowadzać nie mógł cześnikowicz. Gdy do Wołczyna przybyła, ledwie jej dając odetchnąć, księżna kancelrzyna wzięła do swego gabinetu. Była to pani surowa, pobożna, i niepobłażająca dla młodzieży, ale serca dobrego.

— Kazałam waćpannie przyjeżdżać — rzekła do Anusi, — bo mam dla niej plantę maryażu, która jej szczęście zapewnić może. Kawaler jest ze wszech miar przyzwoity i ma nadzieję

wielkiej krescytywy. Jest to pan Sosnowski, którego tu już widziałas.

Usłyszawszy ten wyrok, podstolanka do nóg się rzuciła opiekunce.

— Byłaś mi pani opiekunką i matką,—odezwała się,—wiem, że życzysz szczęścia mojego: nie zmuszaj mnie pani ani do tego, ani do żadnego mariażu—ja, ja,—nie mogę..

Tu się jej łzy rzuciły.

Pani kancelarzyna mocno się oburzyła.

— Waćpanna nie masz prawa dysponować sobą lekkomyślnie,—rzekła gniewnie. Z pewnością jakieś amory w Terespolu i bałamuctwo głowę jej zawróciło.

Zmuszona naleganiem księżny, panna Anna wyznała jej wszystko, nie tając, iż słowo dała.

— A dotrzymać go acanna nie możesz, bo ja nie pozwalam!—zawołała kancelarzyna. Gdyby nawet przeciw temu nic nie miała, oburza mnie to, iż bez mojej wiadomości i zezwolenia waćpannaś sobą rozporządziła. Oswiadczeni stanowczo, iż z tego nic nie będzie. Masz acanna tydzień do namysłu, życzę rozważyć dobrze i szczęścia nie odpychać. Nie zechcesz mnie słuchać, to kwita z mej protekcyi.

Po otarciu łez nakazano pannie wynieść na pokoje, gdzie pan Sosnowski był i attentował pilno. Snadź mu podszeptnięto, ażeby około panny się kręcił, gdyż i następnych dni jej nie odstępował. Podstolanka grzeczną będąc dla

niego, nawet oczu nie podniosła, unikając spotkania i rozmowy. Nic nie pomogły fukania i groźby pani kanclerzyny, których z pokorą słuchając panna Anna, nie zmieniała postępowania.

• Jednego wieczoru wreszcie, gdy wszyscy u kart siedzieli, a pan Sosnowski tę chwilę obrał, ażeby ze swego affektu pannio podstolance uczynić wyznanie, panna Anna się odezwała:

— Wdzięczna jestem nieskończenie panu za uczyniony mi zaszczyt, lecz oświadczyć muszę, iż godną się go nie czuję. Ufam zbyt szlachetnemu jego charakterowi, bym się lękać mogła, że rękę moją zechcesz waćpan pozyskać mimo woli mej, a tej ja nigdy nie zmienię.

— Więc na affekt nie zasłużyłem?—spytał urażony Sosnowski.

— Sercu rozkazywać nie można,—odparła podstolanka.

— Lecz wstręt się może zmienić?

— Wstrętu do tak godnego kawalera wcale nie mam,—przerwała panna Anna,—lecz do małżeństwa więcej się wymaga, niż obojętności.

Zbyty tak Sosnowski, poskarżył się nazajutrz kanclerzynio, ta znowu srodze napadła na wychowankę, lecz ani grozą ani namową nie mogąc jej złamać, w końcu zapowiedziała uroczystie, że na żaden inny maryaż nie zezwoli.

— Zostań waćpanna na koszu, jeśli chcesz, mnie to wszystko jedno.

Napisano o tem do Terespoła, wywiadując się o tego amanta, który serce panny Anny ując sobie potrafil, i czyniąc wyrzuty, że na dworze podskarbiego taką dawano dziewczętom swobodę, iż zawiązywały romanse. Doszły skargi do podskarbiego, już źle dla Sobka usposobionego. Fleming zawsze szparki, na oczy nie dopuszczając nawet Sobka, Morochowskiemu wydał rozkaz, ażeby pan na czterech chłopach ze dworu precz jechał natychmiast.

Ze smutną twarzą wrócił z pałacu pan Morochowski.

— Złaz mam dla waćpana nowinę, do kaduka!—rzekł,—a choć nie tracę nadziei, że się to zmieni i podskarbi waćpanu wróci łaskę swą, tymczasem kazano mi waćpana natychmiast ztąd wyprawić.

— Jak to? i nawet bez pożegnania pana podskarbiego?—zawołał Sobek.

— Znasz go acan, szparki jest i gniewliwy, lepiej jest, żebys mu się już nie pokazywał. Ruśszaj do Kapłonosów i siedź cicho.

Nie wytrzymał Sobek, by odjeżdżając długim listem nie pożegnać podskarbiego, lecz praca to była zmarnowana, bo Fleming ledwie okiem nau rzuciwszy, rzucił pismo między szpargały na stoliku.

Podskarbianka, dowiedziawszy się o wy-

Pan na czterech chłopach.

padku, chciała za swoim protegowanym przemawiać i instancjonować. Ojciec jej mówić nie dał, zatrzepotał rękami i nogami, był zły, musiała dać pokój.

Nie było dla nikogo tajemnicą, że jedna pani Tymanowa staroscina wszystko mogła co chciała u Fleminga, ona trzymała kasę główną, odprawiała i przyjmowała ludzi i rządziła się tu samowładnie. Sobek, że jej protekcyi nigdy nie szukał, nie miał też łaski. Podszepnięto mu, żeby do niej do Bulkowa jechał, gdzie już i staroscinka była, starując się ją sobie pozyskać.

— Takiemi drogami ja chodzić nie zwykłem, odparł Sobek. Co będzie to będzie, niech tam drudzy karki uginają, ja nie mogę.

Tegoż dnia, z wielkim tryumfem dla Wyrzykowskiego, który niby bolejącego udawał, mileząc pan Felicyan na kon siadł, chłopcu swemu na bryczkę rzeczy zabrać kazał, i mało kogo żegnając, z Terespoła wyruszył.

Po latach kilku przebytych tu, to wygnanie nagłe ciężkiem dla niego było, gdyż nawykł już i do ludzi, i do ruchu a pracy, i do gwaru dworskiego,—musiał się jednak do doli swojej stosować, i przyjąc co mu było przeznaczone.

— Nie trac ino waćpan ani ducha, ani nadziei; siedź, powtarzam, w Kapłonosach, poluj na kaczki,—wszystko się to odmieni. Ani do-



la ni niedola nie jest na świecie wieczną. Jakos to będzie!

I uściśkał go, krzyżyk mu nad głową robiąc, pocziwy Morochowski.

Zamiast do Kaplonosów, wprost pociągnął Sobek do Trzcienca. W Kodniu tego dnia pod-nocowawezy, nazajutrz mszy świętej wysłuchał przed obrazem cudownym i wybierał się jechać do domu, gdy wychodzący z kościoła trafił mu się Dubiski, doktor radziwiłłowski z Białej, którego już nieraz spotykał.

Człek to był, jak mówiono, uczony bardzo, nadęty wielce, Niemców nie cierpiący. a że z Radziwiłłami do czynienia miał, od nich przejął sposób obchodzenia się z ludźmi, pogardliwy niemal i dumny. Ubierał się po cudzoziemsku, lecz zaniedbany był i brudny, a tabaką się obsypywał nieustannie, bo ciągle nos nią zapychał. Nosił się zawsze w tabaczkowym fraku, z laską wielką w ręku i poobrywanemi mankietami, w trzewikach z klamrami ogromnemi i obwisłych pończochach. Z chorymi, wyjąwszy księżną chorążynę i jego samego, obchodził się extra-bratersko.

Gdy mu się idącemu skłonił Sobek, Dubiski stanął.

— Kłaniam—rzekł,—a pan tu co robisz?

— Jadę do domu.

— Do jakiego domu? Waćpan zostajesz na dworze podskarbiego?

— Zostawałem, ale już jestem wolny,—rzekł Sobek.

— Cóż się to stało? Głoszono, żeś waćpan w łaskach?

— Pan konsyliarz wiesz, że łaska pawska na pstrym koniu jeździ,—rzekł Sobek. Ale ja się nie skarżę; łaski doznałem dosyć, a gdy'm niepotrzebny, po co miałem wisieć tam?

— Aha! dobrze waćpanu tak! Niemcowi acan służył, a u Niemca natura taka, że człowieka wycisnie jak cytrynę i porzuci łupinę precz.

— Nie zależę się na podskarbiego.

Dubiski zażył mocno tabaki.

— Acan przecię jesteś jakimś kolligatem radziwiłłowskim — odezwał się,—książę chorąży zawsze to przypouina i śmieje się z tego. Czemubys do Białej nie przyjechał?

— A po co?—spytał Sobek,—ażeby'm potem tak samo jak z Terespoła do domu wracał?

Dubiski ramionami poruszył.

— Pan Onufry Korytyński, który jest sekretarzem przy księciu—rzekł,—ma piasek wierwsze pisać, przeto się do innej roboty mało zdał; brak u nas ludzi, jak Bóg miły. Warto wziąć to w konsyderacyę.

Rozeszli się pożegnawszy, gdyż Sobkowi wcale się do Białej nie chciało. Kaprysy dzikie chorążego nadto były wszystkim znane.

Ruszył więc do Trzcienca swojego, gdzie że

rzadko bywał, Grzymała zobaczywszy go, z radości się rozplakał. Wprędce jednak twarz mu się zmieniła, gdy zobaczył wózek, wszystkie rzeczy spakowane, konie powodne i chłopca.

— A toż co jest! w imię Pańskie!

— Mój stary—odparł Sobek,—to się stało, czegośmy się dawno byli powinni spodziewać: jak mnie fantazya przyjęła, tak kaprys odprawił. Wracam na swoje śmiecia. Nie masz się co skarżyć, grosz jaki taki się zarobił. Kaplonosy jeszcze do czasu trzymam. Czegoż chcesz?

Grzymała stał jak wkopany z załamaniem rękoma, długo nie mogąc przemówić słowa, łoży mu po twarzy ciekły. Potem uściśnął wychowanka, klucze dobył, i nie próbując ani pocieszać go, ani rozpytywać, począł myśleć o wygodnem umieszczeniu.

Tegoż dnia kouno pobiegł do Kaplonosów Sobek w obawie, czy tam już co do jego dzierżawy dyspozycyi nie wydano. Kontraktu nie miał żadnego, każdego więc czasu wyrugować go mogli. Do Ś go Jana daleko jeszcze było, lecz Fleming, gdy mu się co zamarzyło, i wśród roku wyrzucić mógł, o nie nie pytając; procesować się z nim nie było podobna. Kazał więc na łeb na szyję Sobek zboże młócić, a inwentarza co przybyło nad liczbę, zaraz do Trzcienca przepędzić.

W Kaplonosach jednakże ani tego dnia, ani następnych, żadna z Terespoła i z Włodawy

od głównego zarządu nie przyszła wiadomość. Spodziewał się więc Sobek, iż przynajmniej do następnego Ś-go Jana spokojnie posiedzi na opłaconej dzierżawie. Była ona wielce korzystną i kilkanaście tysięcy złotych, oprócz inwentarza, koni, sukien, różnych ruchomości dorobił się na niej Sobek; tem więcej też było prawdopodobnem, że plenipotent hrabiego, a nieprzyjaciel jawny Sobka pan Bystry, pokusi się o wioskę tę albo dla siebie, lub dla kogo z protegowanych.

Była jesień, niekiedy piękna w kraju naszym, zawsze smutna, choć brogi pełne i zasieki. Dla pana Felicyana podwójnie ona tego roku była ponurą i wydawała się długą, bo mu na samotnym Trzciencu i z dala od podstolanki strasznie się dni wyciągały. Nie było co robić, ni z kim oprócz Grzymały pogadać,—do życia się też i wygod innych nawykło. Sąsiadów nie szukał Felicyan, aby go za język nie ciągniono, i szlachta wesółą nie przypadała mu teraz do smaku. Strzelbę więc na plecy wzięwszy, pomny rady p. Morochowskiego, po całych dniach się pluśkał za kaczkami na wyzarach, i u Buga, lub do Kaplonosów jechnął dozierać gospodarstwa.

Późno raz ztamtąd powróciwszy, zdziwił się widząc Grzymałę, który zwykle na przyźbie siadywał, wychodzącego na spotkanie do krzyża.

Zwiastowało to cos niezwykłego.

Stary pan Adam zdala już znaki dawał, bo jako nienawykły do wszystkiego, co z ram powszednich wychodziło, najmuńszą rzeczą poruszał się wielce. Staął Sobek i z konia skoczył.

— A co ojczy?

— Z Białej był posłaniec, z językiem...

— Z Białej? Cóż to ma znaczyć?

— Albo ja wiem? dosyć, że ksiązę chorąży prosi, abys *immediate* przybył do niego.

— Nie pisał nikt?

— Ani słowa, ustne polecenie.

Patrzali na się.

— Pojedziesz?—zapytał Grzymała.

— No, a jusciz nie mogę nie posłuchać!

— Hin!—rzekł stary,—miedzy Białą a Wołczynem i Terespołem, jak miedzy psem a kotem, niestanne dąsy i prychania z ks. hetmanem i z chorążym pasują się ciągle Czartoryscy i Fleming. Jak się podskarbi dowie, żeś był w Białej?

— Alboż mi i być nie wolno?

— No—jak ty tam sobie chcesz, lepiej to rozumiesz odemnie,—rzekł Grzymała;—tyle powiem, że mnie to nie ciesz.

— Ja tam żadnego obowiązku nie przyjmę,—zakończył Sobek.—a nie pojechać, afrontby był, za który nie chcę się na zemstę narażać. Co będzie to będzie.

Nazajutrz do dnia, w juki wzięwszy lepsze

odzienie i chłopaka za sobą, puścił się do Białej Sobek, a że konia zhasać nie chciał i dwa razy popasał, dopiero późną nocą stanął w miasteczku.

Naówczas już ks. Floryan Radziwiłł niemłody wiekiem, ciężki, na zdrowiu był źle bardzo. Trapiła go choroba wszystkich niemal magnatów owej epoki, przekarminionych i przepitych, podagra, obrzękłość, puchlina. Poruszał się mało, drażliwszy był niż kiedy, gniewał się często, księżna chorążyna ledwie go mogła umitygować prosbami a Dubiski groźbą, że to zdrowiu zaszkodzić może. Znaczniejszą część dnia spędzał książę w szerokim krześle, zabawiany to przez żonę, to przez ks. Rykura, biskupa ptolemadyjskiego, proboszcza białskiego i słuckiego, w którym wielkie pokładał zaufanie, to przez Dubiskiego, lub którego z oficyalistów starszych.

Tajono przed księciem stan jego niebezpieczny, chociaż księżna przez biskupa starała się go już nakłonić do uczynienia rozporządzenia, bo Dubiski katastrofy się lękał. Książę skłonny był do gniewu, choroba go czyniła drażliwszym jeszcze, a lada wzburzenie mogło przyspieszyć chwilę ostatnią.

Srogi pau był, o czem świadczyły więzienia białskie, w których niemało ludzi pokutowało. Gdy się kto raz dostał *in fundum*, już światła dziennego nie oglądał. Niewolno by-

ło ani prosić za nim, ani go wspomnieć, ani nawet o chorobie i śmierci donieść; kto tam wpadł, już jakby go na świecie nie było. Opowiadano, że w lochach podziemnych na chleb i wodę skazanych było niemało ludzi,—o których rodziny się nawet upominać nie śmiały. Smutną też była naówczas rezydencya ta bialska, w której sierzdzysty pan królował, sama księżna płakała, a Wolski i jemu podobni faworycy co chcieli dokazywali.

Ubrawszy się p. Felicyan i na mszę ranną trafiwszy do fary, ztamtąd wprost na zamek poszedł, nie mając do kogo, do doktora, który w skrzydle pałacowem zamieszkiwał. Dubiski, jak wielu a wielu naówczas fizyków i panów, chorował na alchemię i ciągle coś w tyglach smażył. Dawalo mu to niemałą konsyderyację, bo nikt nie rozumiał, co się tam robi, ale wysokie miano pojęcie o człowieku otoczonym książkami, topiącym kruszce, a wyciągającym eliksiry.

Miller, stary terespolski doktor Fleminga, drwił sobie z tej alchemii i z tego doktora, zowiąc go szarlatanem. Dubiski go za to zwał nieukiem, osłem i różnemi innemi nieprzyjemnemi imionami. Nienawidzili się mocno wzajemnie.

Gdy Dubiski był w domu, o każdej porze dnia zastać go było można przy piecyku, albo egzaminującego produkta wczorajszych doświad-

czeń, zasmolonego i siedzącego w wyziewach laboratorium. Gdy mu te uczone zajęcia przerywano, gniewał się i łajał, nie zważając, kto przychodził.

Spotkało to i pana Felicyana, na którego zapukanie z pierwszej izby odpowiedział Dubiski:

— A bodajesz skisł! czego tu leziesz? kto tam taki?

Wszedł Sobek, spojrzął z za retorty doktor, i niewiele mu się zasępiona twarz rozjaśniła. Syczał przez zęby i patrzył milczący.

— Przepraszam, że przeszkodziłem, książę po mnie przysłał, nie wiem, do kogo się mam udać.

— A do kogo sobie chcesz? a mnie co do tego! krzyknął Dubiski,—ja jestem doktor, to do mnie nie należy. Chcesz olejku albo mikstury, dam, a marszałkiem dworu nie byłem i nie jestem.

Sobek się chciał zawrócić, gdy Dubiski cisnął jakiś kamyk, który w rękę trzymał, i krzyknął:

— No, kiedys wlaż już—to zostań! Skaranie Bożel

— Przepraszam,—odczwał się Sobek.

— Nie przepraszaj!—wołał doktor. Ja muszę iść do księcia, bo mu znowu nogi nabrzękły i trzeba je smarować; no—to pójdziesz ze mną.



Został więc Sobek, rozpatrując się w śmierdzącem siarką i różnemi ingredyencyami laboratoryum, nie mając gdzie siąść, gdyż stolki były pozakładane książkami, ponarzuconeścierkami, a i przejść było trudno pomiędzy flaszkami i garnkami, które drogę zalegały.

— Nie ruszajże się, abys mi czego nie stłukł, nie dotykaj nic, bo szkodę zrobisz, stój spokojnie... odzicję się.

Wyszedł klnąc jeszcze doktor, a Sobek jak stanął niedaleko drzwi, tak już nieruchomy pozostał, głowę tylko obracając na wszystkie strony.

.Było się czemu przypatrywać, bo i naczyni osobliwych i różnych zielsk suchych i kamienia było dosyć po wszystkich kątach.

W chwilę potem Dubiski wyszedł w tabaczkowym fraku. słowa nie rzekł, kapelusz nałożył, z izby gościa wyprowadził i powiódł go do antykamery księcia chorążego, gdzie musiał siąść i czekać, bo księciu nogi smarowano i obwiązywano. Dopiero po tej operacyi, gdy go w krzesło posadzono, i polewkę mu podano, dworzanin wprowadził Sobka.

Księżna z robotką siedziała już u okna.

— A! to wasci!—odezwał się chinurno książę chorąży. Cóż to, Fleming słyszę wasci dał odprawę? he?

— Nie mieliśmy z sobą umowy żadnej—

odparł Sobek,—zajmowałem się praktyką przy kancelaryi, aby się czegoś nauczyć.

— Czegożeś się tam acan nauczył? niemieckiej polityki? he? jak z cudzoj kieszeni wziąć a do swojej włożyć?

To powiedziawszy, książę się począł śmiać i syknął zaraz, bo go w nodze zarwało. Chwytał się za kolano.

— A daj cię lichu!

Sobek na politykę niemiecką, tak dobitnie określona, odparł, że się do niej nie aplikował.

— Cożes acan został bez zajęcia?—spytał książę.

— Owszem, mości książę, bo mam dzierżawę i własne gospodarstwo...

— El to tam bzdurstwo! ja wiem!—rzekł chorąży.—Ja acanu co innego chciałem raić. U mnie człowieka do pióra brak. Korytyński wersyfikacyą się zabawia i Muzom hołduje, truten—acan u mnie pracuj w kancelaryi.

— Unizenie w. k. mosci dziękuję,—odezwał się Sobek,—ale ja radbym spocząć.

Książę usta nadawszy, odwrócił się.

— Co? co? odpoczywać chcesz? cożes się to tak zlaborował? Nie łaska do mnie? he?—Myślisz, że po szpeku tego Niemca, moja boćwina ci będzie nie do smaku. He? he? mój mości! Ja tam znowu napraszać ci się nie myślę.—Chcesz—dobrze; nie—to ruszaj z panem Bogiem...

— Z duszybym rad mości ksiązę, ale dopóki Kaplonosów nie zdam, nie sposób.

— Tere fere—Kaplonosy? Cóż to one? Z Terespoli mogłeś na nie naglądać, a z Białej nie możesz?—mówił ksiązę.—Fonfry! kaprysy! ja tego nie lubię.

— Ale, mości ksiązę! - przerwał Sobek.

— Ja tego nie lubię!—powtórzył głos podnosząc i przez ramię patrząc ksiązę.—Słyszysz acan?

— Słyszę, mości ksiązę.

— Masz wóz i przewóz, mówię: miejsce w kancelaryi, tysiąc złotych emolumentów, na parę koni obrok i wikt dla chłopca. Cóż to? mało ci jeszcze?

— Aż nadto by było—ale...

Książę spojrzał gniewnie.

— Florek! na miłość Bożą!—szepnęła księżna, dając znaki Sobkowi, aby się nie sprzeciwiał.

— Ale co? Niemiec ci jeszcze pachnie, rad byś do niego wrócić. Jeśli tak, to idź do trzystu dyabłów! idź!

Drżącą ręką pokazywał drzwi.

Sobek się skłonił i skierował do progu, chcąc ujsć co najprędzej, gdy Dubiski ukazał się od drugiego pokoju i podbiegł.

— Nicchże się w. ks. mość nie irytuje!

— Jak się nie mam irytować? Patrzajcie go!

Mógł służyć u Fleminga, a u Radziwiłła to mu się nie chce.

Sobek nie czekając więcej, już się wysunął za próg i zdążał ku wschodowi; twarz mu się paliła. Był już w dziedzińcu, gdy za nim przypadł goniąc mężczyzna przystojny, młody, czarnooki, wejrzenia wesołego, po polsku ubrany. Był to Onufry Korytyński, którego książę trutniem nazwał. Zastępował tu sekretarza. Nie znał go pan Felicyan, tylko z odgłosu i przez ludzi; on zaś o przybyciu Sobka musiał być uwiadomiony, a może i słuchał jak go odprawiano, i z nśmiechem przypadł do niego.

— Jestem sekretarzem księcia—rzekł, podając mu rękę,—rad jestem poznać pana.

Sobek jeszcze do siebie przyjść nie mógł.

— Spotkała mnie tu konfuzya niemala,—odezwał się po chwili. Książę mnie wezwał, i był tak łaskaw, że chciał zatrzymać przy sobie. Bóg widzi, nie mogłem przyjąć... książę się bodaj gniewa.

Korytyński ręce powkładawszy w kieszenie, szedł przeprowadzając Sobka za bramę zamkową.

— Książę bo ciągle się gniewa i za wszystko—rzekł,—to nie raritas u nas. Mileby mi było zaprawdę z tak szanownym kawalerem koczęństwo, lecz prawdą a Bogiem, dobrześ waćpan zrobił.

— Inaczej nie mogłem...

— Jarzmobys waćpan wziął na kark—dał sekretarz,—i to nie złote, a prócz tego, lękam się, abyśmy tu wkrótce zmiany panowania nie mieli. Książę chory, Dubiski go lekarstwami obładownje... będzie źle. Sam tu jestem, zerwać się nie mogę, aby już chorego nie gniewać; ale gdyby się godziło i gdyby nie księżna, jednejbym tu nie był godziny.

Na drogę do miasteczka wywiodłszy Sobka, Korytyński tu mu się przyznał, iż miał polece nie namawiać go do zostania.

— Sumienie mi tego nie dozwala czynić, chociaż, możebyś waćpan i dał tu sobie radę; ale w ekspektatywie mamy, że książę nie pociągnie, a hetman lub syn jego miecznik, zjadą Białą zaraz, i dawny dwór na cztery wiatry rozpędzą. Ja moje węzłki trzymam pogotowiu.

Po tej rozmowie nie pozostawało już nic, tylko przebrawszy się, do domu co rychlej uciekać, aby na nowe nie być narażonym nalegania. Tak też Sobek uczynił.

Odpoczywał w Trzcieńcu, nie spodziewając się, aby te odwiedziny w Białej jeszcze skutek jaki ściągnąć miały, gdy fortuna, która się kolein toczy, przeciwko niemu je w dziwny sposób obróciła.

Doniesiono panu Bystremu, iż odprawiony ów przez podskarbiego, łaskami jego osypa-

ny szlachcic, załedwie do domu przybywszy, natychmiast się udał do Radziwiłłów, u nich przeciwko niemu szukając protekcyi i do służby się chcąc zaciągnąć.

Natychmiast z tem pobiegł do Terespoła pan Bystry, i wystawując to jako zbrodnię i czarną niewdzięczność, tak podskarbiego poruszył, iż natychmiast nie pytając nic, kazał Sobka z Kapłonosów wyrzucić precz, ekonomu tam posłać, zająć wszystko, i chociaż dzierżawa roczna była zapłacona, bez żadnej bonifikacyi eksmittować.

Uradowany tem pan Bystry, nie czekając drugiego dnia, z ręki swej oficyalistę pchnął z najsurowszym rozkazem, ażeby prószynki nie dając wziąć z Kapłonosów, w tejże chwili posłuszeństwo wypowiedział i zajął je na podskarbiego.

Siedział w Trzciencu spokojnie Sobek, gdy ekonom z Kapłonosów oklep na koniu przybiegł, oznajmując o tem, co się stało i wzywając ratunku! Nie było jednak co poczynac, ani jak się bronić nawet.—Sobek nie myślał tam jechać, nie chciał prosić, napisał list do Morochowskiego, przedstawując mu krzywdę swoją—i—na tem poprzestał.

Zostało mu to tylko, co wprzód z Kapłonosów jakby przeczcuciem uratowano, i pan na czterech chłopach, nie wiele zamożniejszy niż był, wracał do swego chudego dziedzictwa,

z sercem ściśniętem, złamany, nie wiedząc co robić z sobą.

Ubóstwo to byłoby mu znośne, bo miał za co ręce zaczepić i w najgorszym razie, choćby sobie gdzie małej dzierzawy szukać, gdyby myśl o pannie podstolance i wszelka nadzieja zbliżenia się do niej nie zatrzymała mu dni i nocy.

Przyznał się Grzymale do tego, co cierpiał i jak się związał sercem i słowem, a stary w początku drażnić go nie chcąc, nie mówił nic, aż gdy w nim kilka dni ta wiadomość fermentowała, wybuchnął dopiero jednego wieczora.

— Ja bo mówiłem zawsze: gorszego nie ma nic, niż z babami się wdać i ręce sobie związać affektem, który życie żółcią napoi. Czy ty myślisz, że jabym się był nie mógł ożenić, i że mi się za młodu nie trafiały?—o mój Boże! jakie jeszcze i z posagami. Nie chciałem, bo wiedziałem, czem to pachnie... A tu jeszcze panna z partesów, kolligatka, i wysokie progi! Co to gadać? Plunąć i porzucić!

Sobek westchnął.

— Pewnie — dodał Grzymała, — od razu tak, kiedy jeszcze świeża w sercu ta głupia, z pozwoleniem, miłość—trudno; a no na to nie ma jak czas. Zapomni się, zatrzeć i tyle, że człowiek potem pożałuje, że w to wszedł. At!

Sobek tak dalece nie zapominał, że w parę tygodni po odebraniu mu Kapłonów, zmyślił

jakąś potrzebę do Brześcia, nie chcąc się przyznać, że chce dotrzeć do Wołczyna. Pisać nie mógł, a oddalanie mu tak dolegało, iż chciał choć spróbować, czy się w jakikolwiek sposób nie potrafi przybliżyć, a bodaj nie widząc podstolanki, dowiedzieć co się z nią działo.

Posądzał go może Grzymała, bo chłec nogami suwał, nastroczał się sam jechać do Brześcia, lecz ofiary tej nie przyjął Sobek. Chcąc być swobodniejszym, nie wziął nawet z sobą pacholika, ani juk, dobrał tylko najlepszego konia, i ruszył miino gderania Grzymały.

Ten go za wrota wyprowadził i tu wstrzymał jeszcze.

— Słuchaj-no — rzekł, — z tem nie ma co żartować. Jeżeli kłamiesz a myślisz się do swej milej przekradać do Wołczyna, to pamiętaj, że to z takimi pannami sprawa, u których sto batogów dać szlachcicowi, jak chleb z masłem zjeść.

Rzucił się Felicyan, ale krew mu do twarzy bryzgnęła.

— Cóż bo myślisz? — zawołał.

— Co ja myślę? żeś ty młody, gorączka, i że do ciebie „przystąpiło.” Wpaść w matnię łatwo, a wykręcić się bez ignominii trudno.

— Ale ja nie jadę, gdzie myślicie! — zawołał Sobek.

— No — to jak sobie chcesz — ja mówię, co myślę, ruszaj z Bogiem.



Pojechał Sobek nie śpiesząc.

Drogę musiał skierować na Terespol, ale wstępować nie myślał do nikogo, aby się nie zdało, że o łaskę i zmiłowanie prosi. Wprost zajechał do Brzescia i u Augustyanów stanął, gdzie miał sobie księży przyjaznych. Tam mu nocleg przypadł. W klasztorze wiedziano już o smutnej doli Sobka i bolano nad nią, cały wieczór rozmawiał z księżmi, nie wydając się z tem, dokąd jedzie. Tu się dowiedział, iż wielkie czyniono przygotowania do ślubu podskarbianki, i że bardzo często wojewodzie ruski przybiegał do Terespola do narzeczonej.

Mówiono mu też, iż w Wołczynie z powodu wesela tego zakręt był wielki, gości ciągle pełno, rzemieślników, krawców, tapicerów, cudzoziemców różnych, co na rękę było poniekąd Sobkowi, bo w tym tłumie łatwo się niepostrzeżony mógł przesunąć.

Zatrzymał się tylko w Brzesciu tak długo, aby nie we dnie, ale pod noc przybyć do rezydencji.

W karczmie, chociaż bardzo obszernej, ledwie kącik znaleźć było można. Dworscy, przyjezdni, gawiedź wszelkiego rodzaju, zalegała izby i stajnie. W tym tłumie szczęściem nikogo znajomego nie znalazłszy, był Sobek bezpiecznym, a że posłańców ze stron różnych, z dóbr książęcych dalekich, oficyalistów, szlach-

ty drobnej było mnóstwo, łatwo uszedł oka. Nikt ani wątpił, że jak inni z interesem przyjechał do ks. kanclerza. Choć z wielką biedą, pomieścił się jakoś z koniem, a o noleg nie zwykł się był frasować, bo umiał się gdziekolwiek, choćby na chłodzie i na twardem przespać.

Pędziła go tu tęsknica po podstolance tak nierozważna i natarczywa, że się wprzód nierozmyślił nad tem, jak ma do niej dostąpić. Nie była to rzecz łatwa, bo choć już nadchodziła wiosna i powietrze dość łagodne, a liście powoli na drzewach rozpękały, na ogród i przechadzkę niewiele mógł rachować.

Miejscowosci też nie znał. Trzeba się było rozpatrzyć. Poszedł ku pałacowi i ofieynom, z daleka się przypatrując wszystkiemu, i tu powozów, ludzi, kręciło się mnóstwo, służby z cudzoziemska i po polsku wyglądające. Nikt na niego nie zważał, bo tylu się obcych zwijało w pędzie, że służba ich zapamiętać nie mogła, puszczano wolno przyzwoicie ubranego człowieka. Sobek na tę wyprawę nie wystąpił zbyt wykwintnie, aby oczu nie zwracać i wyglądał na wysłańca możnego domu.

Służba kanclerska, jak to się powszechnie dzieje, naśladowała obyczaje paskie i dosyć obcych lekcewazyła, chętnie sobie z nich przedrwiwając. P. Felicyan próbował się zbli-

żyć dla rozpytania do niej, lecz go zbyt ostro i musiał nstąpić.

Zciemniało już mocno i nie było tu co robić, wrócił więc do austeryi, zostawując na dzień jutrzejszy rozpytywanie i rozpatrzenie się. W małej izdebce znalazło się dla niego miejsce na sianie, więc konia powierzwszy stróżowi, siodło i juki zniósłszy, aby się miał na czem położyć, legł zawczasu, choć na sen mu się nie zbierało, a okrutna wrzawa w gospodzie okaby zmróżyć nie dozwoliła.

Mysłami bujając po świecie, w końcu na jedną padł, która mu się najlepszą zdała. Naza-jutrz była niedziela, nabożeństwo w kościele, wiedział, że księżna kanclerzyna wielce pobożna, opuścić go i fraucymerowi swemu dać niedzielę święcić beze mszyby nie dozwoliła; powiedział więc sobie, że pójdzie z rana do kościoła i tam dotrwa do końca summy, a nuż podstolankę zobaczy i da się jej widzieć. Jużby mu to nawet starczyło, gdyby ją mógł tylko zdrową oglądać i okazać, że o niej nie zapominał.

Tak sobie postanowiwszy, uspokojony zasnął. Nazajutrz jak świt, obudziła go większa jeszcze wrzawa niż dnia poprzedzającego, bo niedziela każda ma prawa swoje. Gości i włóścian płynęło zewsząd co niemiara.

Strach go ogarniał, ażeby kto z Terespoła znajomy się nie zjawił, lecz Bogu się poleciw-

szy w opiekę, nadzieję miał w łasce Jego, że go ta bieda ominie.

Kościół od rana był otwarty, śpiewano jeszcze różaniec, gdy przyszedł, i wymiarkowawszy, w której ławce dwór zasiądzie, umiescił się, by mógł widzieć i być widzianym. Na wypadek zaś, gdyby się kryć potrzebował, miał przed sobą chorągiew sutą, spuszczoną, za której koniec twarz mógł schować. Na pierwszych mszach nikogo nie było, oprócz miejscowych ludzi, dworu i pospolitego ludu; dobrze się więc wystął, nim po skończonej wotywie, we wszystkie dzwony zaczęto bić na sumę.

Serce mu biło mocno. bo czuł, że się chwila zbliżała. Jakoż niebawem rozstępować się zaczęli ludzie, i ks. kanclerzyna weszła zakwestioną, za nią inne damy, a między temi owdowiała podkanclerzyna Sapieżyna i inne do rodziny należące, naostatek wśród panien poznał, a bardziej się domyslił swej bogdanki Sobek. Szła ona z tą swą dawną powagą, która jej nigdy nie odstępowała, z oczyma spuszczone, piękna, smutna trochę, niezmienną bynajmniej. Nie widziała Sobka i wcale go poucie nie przeczuwała, a że oczu nie podnosiła, przeszła mimo w całym majestacie swym, aż do ławy, nie domysłając się, jak ją oczy jego ściagały... Trafiło się, iż Sobek stał dosyć szczęśliwie, i że byle na ołtarz wejrzała, musiała go zobaczyć. Nie nastąpiło to rychło, bo czytała

na książec i wcale oczyma nie strzelała, dopiero gdy kazanie się rozpoczynać miało i księża celebrujący na krzesłach miejsca zabierali, podniosła wzrok z książki, powiodła nim po kościele, i oczy jej padły na Sobka. Widział jak drgnęła, zarumieniła się i wnet spokój zwykły odzyskała, lecz wzrok jej wrócił ku niemu, i dał mu znać, że go poznała.

Gdy kaznodzieja wszedł na ambonę, panna podstolanka już słuchem i oczyma przy nim była. W czasie reszty summy i supplikacyj, które po nich nastąpiły, nie patrzała już prawie na niego, choć on Pana Boga o przebaczenie prosząc, ciągle na nią spoglądał. Zawczasu potem wysunawszy się, zajął miejsce, choć z wielką biedą, u chrzcielnicy z wodą święconą, którądy musiał dwór przechodzić. Udało mu się stanąć blisko bardzo.

Przeciągnęła tuż i ks. kanclerzyna, i Sapiczyna, i inne damy, przyszła kolej na podstolankę, która biorąc święconą wodę, oczy wlepiła w chesnikowicza, jakby mu niemi powiedzieć chciała (co dobrze zrozumiał): „Bądź waćpan spokojny, wcalem się nie zmieniła.”

Sama obecność Sobka toż samo o nim powiadała.

Szczęśliwy, że go rachuba nie zawiodła, wyszedł z innymi pan Felicjan, już sobie więcej nic obiecując, gdy tuż przed sobą ujrzał dobrze znaną ochmistrzynię Żuchowską.

Wiedziała ona o wszystkim i miała, jako kobieta, kommizeracyę wielką nad tą czułą parą, walczącą sercem stałem z przeciwnościami. Domyśliła się zaraz wszystkiego, skinęła głową cześnikowiczowi, a że tłok był, mogła niedostrzeżona w bok ujsc ku zakrystyi, dawszy znak, że radaby go widzieć.

Kobieta była dobrego, miękkiego serca, już w tym wieku, gdy pospolicie niewiasty same się wyrzec zmuszone wszelkich marzeń, chętnie patrzą na sprawy miłosne, przypominające im lepsze czasy.

— Co waćpan tu robisz, panie cześnikowiczu?

— Przejazdem, wstąpiłem na nabożeństwo!

— Bodaj asana tak Bóg kochał! — rozśmiała się Żuchowska, — a do kogożeś się modlił w kościele? chyba do żywego obrazka!

Potem się zbliżyła poufnie i spytała żwawo:

— A widziałaz ona asana?

— Nie wiem, zdaje mi się! — westchnął Sobek.

— E? zdaje! zdaje! Ale bobys już nie kłamał. Ja waćpaństwu szczerze sprzyjam. Długo tu bawisz, boć nabożeństwo się skończyło.

— Juścić nieszpory do nabożeństwa należą, — usmiechając się rzekł cześnikowicz.

— A no! także mi gadaj! — odparła Żuchowska. Namyslała się chwilę, wahała, i kładąc mu rękę wyschlą na ramieniu, szepnęła:

— Na prawo w oficynie, gdzie się stolnik litewski urodził, na dole, mam mieszkanie; po obiedzie mnie waćpan odwiedź, a może nie będziez tego żałował.

Oddaliła się szybko. Sobek urósł z radości, i ażeby już poznanym nie był znowu przez kogo, pobiegł do gospody. Dopiero mu też teraz i apetyt wrócił, ho od wczoraj nic w ustach nie miał, ani mu się jeść chciało. W karczmie jajecznicy i ryby tylko dostać było można, ale i to smakowało. Licząc godziny do poobiedzia, wyrwał się tymczasem opatrywać oficynę, którą łatwo znalazł. lecz i kłopotu się nabawił.

Był w Terespolu chłopak nadzwyczajnych zdolności, choć bardzo niskiego pochodzenia, bo jawnie mówiono, że miał być chłopskim synem, co naówczas niezmiernie do wszelkiej krescytywy szkodziło. Chłopak jednak tak był bystry, tak się wszystkiego sam uczył, zgadywał jakos, łapał, że w końcu pono się z kredensu do kancelaryi wygrzebał. Tam go w początku popychano, ale w końcu, gdy ten dyabeł wszystkich pędził w kamysze, a co raz to się potrzebniejszym okazywał, zaczęto go konsyderować.

Bystry był bardzo przeciwny temu, żeby lada gburowi dozwalać liznać nauki i przepowiadał, że z tego nic dobrego nie wyrośnie,

chyba na gałąź. Chłopak się umiał tak zalcecać, że go do Wołczyna wzięto do kanclerza.

A że z miejsca na miejsce się przynosząc zarządziło się *origo*, tu już mógł za szlachcica nawet uchodzić, bo suknia często u nas szlachectwo dawała,—książę kanclerz go używał do kaligrafowania listów. Sprytny był jak ogień. Zwał się Sawrańczuk.

Zapomniał wiekuiście o nim czesnikowicz, gdy w dziedzińcu licho to mu się nawinęło, a że oko miał nadzwyczaj bystre chłopak, natychmiast poznał Sobka. Nic pora była się wywijać.

— Pan tu, panie Felicyanie? Oczom mi się wiczyć nie chce!

— Nie z własnej woli, lecz posłany—skłamał już po raz trzeci tego dnia Sobek,—natychmiast odjeżdżam.

— Dokąd?

— A, to już mnie wiedzieć—odezwał się czesnikowicz,—za cudzą jestem sprawą, gębę mam zamalowaną.

— No—to nie pytam!—rzekł Sawrańczuk śmiejąc się,—ja byłem przekonany, że pan tu chyba czy nie za własnym interesem, lecz jak nie—to nie.

Czerwienił się Sobek.

— Waćpan wiesz, że ja interesów nie mam.

— A no—to się omylił!..

Kiedyż pan przybył?—spytał dalej Sawrańczuk.



— Wczoraj, a dziś wyjeżdżam.

— No, to interes szparko poszedł, co u nas rzadko,—mówił chłopak.

— Jakże się tu waćpanu powodzi?—rzekł odwracając rozmowę od siebie p. Felicjan.

— Dziękuję, bardzo dobrze! Ja się nie skarżę nigdy,—śmiejąc się mówił Rusin, oczyma zmierzyszy zakłopotanego Sobka. Bieda innie nauczyła samemu sobie rady dawać,—to najlepszy mistrz.

— Ale ciężki.

Sobek się zegnał, chcąc mu zejść z oczu, gdy Sawrańczuk do ucha mu szepnął:

— Sosnowski już nie dojeżdża, ale inne projekta mają dla panny... kanclerzyna się gniewa, wszyscy zresztą są dla niej z weneracją.

Nic nie odpowiedział Sobek, bo go za konfidenta brać nie chciał, usmiechnął się i po-zegnał.

Lękał się bardzo, ażeby Sawranczuk nie odgadł wiele i nie wypaplał się.

Ażeby nie ściągać na siebie oczu, odszedł precz z dziedzina Sobek i dopiero w poobiedniej godzinie, skradając się jak złodziej, oglądając, znowu do oficyny zmierzył. Tu, jakby na straży stojąca dziewczeczka, nie nie mówiąc, nie pytając, drzwi mu pokazała. Pani Żuchowska uszczuplone miała mieszkanie z powodu, że teraz dla przyszłych gości pokoje na

nowo wyklejano i woškowano. Miesciła się w dwóch niewielkich izdebkach, w których ją zastał przyspasabiającą kawę. Tuż w kominku stały imbryczki i śmietanka z kożuszką, a na stoliczku ślicznie nakrytym, sucharki. Oprócz niej nikogo więcej nie było.

— Chciałam z duszy uczynić waćpanu niespodziankę,—szepnęła przy powitaniu,—ale mi się nie udało. Podstolanka czy się lęka, czy uważa to za niewłaściwe, jakoś mi nie obiecała...

Sobek ani się śmiał skarżyć.

— Raczże pani z łaski swej — rzekł — to tylko powiedzieć pannie Annie, żem ja tu umyslnie przybył, aby jej oblicze oglądać. Zatem wieczorem nazad w drogę do domu. Wszak-ci to nie tak srogi grzech od czasu do czasu na nabożeństwo do Wołczyna przyjechać.

Mówił to, gdy w oknie coś mignęło, i Żuchowska w ręce uderzywszy, ku drzwiom pobięła. W progu zjawiała się podstolanka. Weszła zarumieniona mocno, podając rączkę drżącą do pocałowania cześnikowiczowi. Z początku słowa przemówić nie mogła.

— Nie byłabym ja pana widziała—odezwiała się,—ale widac było to w przeznaczeniu. Ks. kanclerzyna sama mnie do pani Żuchowskiej wysłała, abym jej była pomocą w przygotowaniach.

— A! co za szczęście!—zawołał cześnikowicz.

Spojrzała nań podstolanka.

Tymczasem Żuchowska, pod pozorem pilnej sprawy, za klucze pochwywszy, poczęła się kręcić, zawołała parę razy głosem cichym:— Justysia! i... wyszła. Mogli więc bez przeszkody kilka słów powiedzieć sobie.

— Umyslniem przybył, aby choć z daleka zobaczyć panuę Annę,—odezwał się Sobek,— pan Bóg mi poszczęścił!

Anusia drżąca stała, patrząc na niego z powagą.

— Słyszałaś pani, że mnie z Terespoła wygnano?—westchnął Sobek.

— O tem wiem od podskarbianki.

— I że mi dzierżawę wśród roku odebrano za to, że miewany przez księcia chorążego pojechał do Białej, gdzie burę dostał, bom służby nie przyjął.

— O tem nie wiedziałam—westchnęło dziewczę—lecz trzeba mężnym być. Krzywda się powrócić może...

— Nie skarżę się—mówił Sobek, —podskarbi i tak dla mnie dobrym nad miarę był. Wróciłem do mojej nędznej wioszczyny i starcego domu...

— Nie traćże wacpan ani ufności we mnie, ani nadziei w lepsze losy, —poczęła podstolanka. Ja i na najmniejszej wiosieczce i w najlichszym dworku żyć potrafię, a o splendory

niewiele dbam, bo one szczęścia przyczynić mogą, ale go dać nie są w stanie.

— A Sosnowski?—zapytał Sobek.

— Już, dzięki Bogu, znalazł sobie inną,—śmiejąc się dodała podstolanka. Swatają mi teraz z kolei różnych ichmościów, a ks. kanclerzyna gniewna, zapowiada, że starą panną da mi zostać, gdy jej nie słucham.

Pocałował ją Sobek w rękę, westchnęli. spojrzeli sobie w oczy, i jakaś otucha wstąpiła w oboje.

— Samo to szczęście, że m pannę Annę zobaczył, na długo mnie pokarmi i nie da przepaść,—rzekł Sobek. Trzeba czekać—no, to choćby pół wieku.

Schwycił znowu rękę, która mu się nie broniła. Wtem wróciła Żuchowska, co rychlej biegnąc do kominka, bo kożuszek jeden się przypalał, a z drugiego smietanka zbiegała. Chwyciła więc starą rękawiczkę, aby podstawić garnuszki i prosiła na kawę.

Siadła panna Anna, naprzeciw niej Felis, a że stoliczek ów marmurowy, maleńki był. znaleźli się bardzo blisko siebie. Tu już oczy więcej mówiły niż usta. Zaczęła dla rozveselenia gościa rozpytywać go podstolanka o gospodarstwo; a on, sam z siebie i ubóstwa swojego podżartowując, zabawnie opisywał i dwór. i łany, i chudobę, i wreszcie poezciwego starego Grzymalę jej prezentował.

Tak zbiegła chwila prędko, i ani się postrzegł Sobek, gdy czas było odchodzić, co już niepokój gospodyni wskazywał. Naprędce więc i Żuchowskiej i Anny ręce ucałowawszy, zerwał się uciekać. Lekko mu było i wesoło, gdy wychodził — ale zdrętwiał, zobaczywszy we drzwiach oficyny stojącego Sawrańczuka.

Nie było go podobna uniknąć.

— Dobry wieczór panu cześnikowiczowi,— odezwał się,—dobry wieczór! Niech się pan nie spieszy, chmura naciąga, już dziś w drogę trudno. Ja właśnie też idę do austeryi, będę panu towarzyszył!

Sobek szedł, nie nie mówiąc.

Za bramą dopiero Sawrańczuk śniczem wybuchnął.

— A wstydzilibys się pan przedemną kryć z tem, co ja, gdybym nie chciał, odgadnę. Kruk krukowi oka nie wykole; jać pana nie zdradzę. Chciałeś się widzieć z podstolanką—widziałeś się, na zdrowie. Choć mnie chłopskim synem i chamelem nazywali, wierz mi pan, że dla tego zdrady i niepoczewości w sercu nie mam. Z durniów, to prawda, drwię i z nich korzystam, bo oni na to stworzeni, aby po ich plecach drudzy do góry leźli; ale takim jak wy—co im się krzywdą dzieje, a oni nigdy nikomu jej nie czynią,—takim Sawrańczuk i krewby dał!

Gorąco to powiedział, aż go Sobek uściskał. Dopieroż sekretu nie było, rozgadali się, po-

wiedział cześnikowicz, jak przybywszy biedował, nie wiedząc co radzić sobie, i jak mu sam Pan Bóg pomógł, że podstolankę zobaczył.

— Drugi raz, jak zechcesz tu być, jak w dym do mnie—ja paty nie puszcze, i ani dam poznać, że o czem wiem...

Nim doszli do austeryi, lunęło z chmury; więc Sobek do nocy przegawędził z Sawrańczukiem, a nazajutrz do dnia, puścił się nazad do Trzcieńca.

Życie w tym Trzcieńcu było prawdziwie klasztorne, uciechy tam żadnej krom tej, jaką dusza sama dawała, gdy w niej pokój mieszkiał. We dwóch izbach obok siebie sypiali Felis i stary Grzymała. Ten, jak to pod starość bywa, sypiał niewiele, zrywał się z rana. Jak on się tylko ruszył, budził się Felicyan.

— Anobys spał i wypoczął, bo co innego młodość, co snu potrzebuje, co innego mój wiek, który na wieczny sen patrząc, już się do spoczynku nie kwapi. Spij, spij, ja pójdę i obejrzę. nie masz tak dalece co robić.

Zrywał się jednak zaraz i Sobek, sen go też nie brak. Szli jeden za drugim, budzić Niemowę, bo ten znowu spałby był dzień i noc, gdyby go nie potargano i nie zmuszono do roboty.

W domu oprócz niego był chłopiec przybłęda, ale z tego żadnej pociechy nie mieli, ja-

dał strasznie, wróble wykręcał, szkodę robił, kotom pęcherze przywiązywał, łasował w kuchni i w ogrodzie, i ciągle go trzeba było pilnować, wszelako obrok zasypać na oczach Grzymały, wody ze studni naciągnąć, ogień rozpałić, napędzony potrafił. Tylko go na posyłki użyć nie było można, bo jak poszedł, tak przepadł. Potem choćby czturchanca oberwał, już się nie skarżył.

Koło tego małego gospodarstwa więcej było roboty, niż czasem koło wielkiego. Trafiało się i samemu Grzymale, a choćby i dziedzicowi, i z wozem a siekierą do lasu po susz i gałęzie jechać, i za bronami pójść, i do siana i do snopów. W gorącą porę nie było się co drać, boby kopy porosły, a siano pogniło.

Czasem gospodyni nowa musiała w pole z dwojakami dla pana i Grzymały iść tak jak dla parobków. Do domu dla jadła iść nie było czasu. Sobkowi z tem dobrze było, że nie miał chwili do rozmyśłów, chyba w niedzielę. Innego dnia w gospodarstwie nie to, to co innego, robota była zawsze pilna.

Ze wsią i włościanami nie było kłopotu, bo w takiej małej wioszczynie, dwór i chłop za pan brat być muszą. Wie się, kto co może, i nad siłę nie wyciąga; folguje się, aby włościanin sobie zebrał, bo w zimieby go karmić trzeba. Czterej owi chłopci pana Felicjana, z których Fleming się wysmiewał, byli to towarzy-

sze i przyjaciele więcej niż słudzy. Co się w której chacie działo, wiadano doskonale, nawet jaki która baba chleb piekla i co komu na połudenek w garnkach przynoszono.

Dzień prawie cały schodził po za dworem, przy roli lub na polowaniu. Czasem z fuzyą się szło na pole, a pomknął zając, albo się zerwało stado kuropatw ze ścierni, stuknęło się i było co zanieść do domu.

Wieczorem dopiero, gdy już konie i bydło napojone było, obroki i sieczka zasypana, pozamykane wszystko, Grzymała siadał na przyźbie, Sobek na ławce w ganku i poczynali o nieboszczyku czesniku, o dawnych czasach, albo o tem, co tam z Białej, Terespoła, Brześcia Żydzi przynosili.

Właśnie jakos w tym czasie nastąpiła wielka rewolucya w Białej. Chorąży, wedle przepowiedni Dubickiego, z tego w nogach obrzęknięcia i nie zbyt wstrzemięźliwego życia, nagle zmarł, a że, choć z biskupem ptolomaidskim testament dawno układał, ale zrobić go formalnie czasu nie miał, a zmarł bezdzietnie, więc hetman z Nieswieża po nim dziedziczył.

Opowiadano sobie o tem, jak ów faworyt Wolski, gdy jeszcze ciało jegomości nie ostygło, na konia siadł i do Nieswieża poleciał sobie z tego czyniąc meritum, iż testamentu nie dał zrobić. I tak się w łaski hetmana wkradł, na co wszyscy bardzo sarkali. Księżę chorąży



był jeszcze niepochowany, a już synowiec, miecznik książę Karol, przysłany przez ojca do Białej, uczył w niej i hałasy wyprawiał.

Mówiono też, że gdy więzienia otwarto po śmierci, powychodziło z nich siła ludzi jak trupy wynędzniałych, a niektórzy, co siedzieli zbyt długo i od powietrza byli odwykli, dostawszy się na wolność, poumierali. O tem wszystkim Żydzi w Słowatyczach wiedzieli dobrze i o wielu innych historyach...

Wieczorami tedy było zawsze o czem pogawędzić, a gdy przedmiotu zabrakło, wracał Grzymała do swojego ulubionego tematu, iż najgorsza rzecz jest kamień sobie do szyi przywiązać, gdy się miłość ku kobiecie powźmie.

— Bo to z tego, tak mi Boże dopomóż, nie będzie—kończył zawsze,—czysta imaginacya, a waćpan się wędzisz nadaremnie. Czy jej tam w głowie pan Sobek, kiedy w Wołczyńnie snopami konkurentów! Zobaczysz...

Czasami Grzymała, wiedząc, że pieniądze były, namawiał na dzierżawę, lecz nie wiedzieć zkąd ją było wziąć. Sapiehowie puszcza-  
li, lecz konsyderacyi z nimi nie miał Sobek. Kilka razy się do Romanowa wybierał, i dał pokój.

Zawsze mu się zdawało, że Morochowski pocciwy, coś tam dla niego zrobić potrafi. Ale Bystry był w łaskach, i przeciw niemu

się ważyć nie miał nikt odwagi. Rósł w oczach.

Zbliżało się też wesele podskarbianki. Sobek jeśli w kim, to na niej pokładał nadzieję, lecz nie rychlej, ażby za mąż poszedłszy, swobodniejszą się stała. Grzymała, któremu kilka razy się z tego spowiadał, oponował mocno przeciw tej nadziei.

— Ty ho myślisz, że taka grafianka idąca za księcia, będzie miała w głowie waścin interes. Mało ona ma tam o czem myśleć, nie wie już, czy jesteś na świecie!

Do Wołczyzna, choć mu się bardzo chciało, tak rychło znowu jechać się nie ważył Sobek. Siedział więc w domu, i żyło się z dnia na dzień — aby dalej.

Grzymała frasował się, że mu chłopiec skwasnieje, i radby go był czy do Sapiehów, czy do Radziwiłłów popchnął, Sobek nie chciał.

Jednego dnia właśnie jakoś swobodniejsi będąc, na obiad się do dworu ściągnęli, gdy Niemowa w okno zaczął stukać, ukazując na drogę i wołając:

— Pchu! pchu!

Byli do tego przywykli, że i nadjeżdżającego Szłomę w ten sposób zwiastował, więc się niebardzo spieszyli. Niemowa lubił gości, szczególnie takich, od których, jak naówczas od Fleminga, uciekać nie potrzebował.

Było dla niego ulubioną zabawą, gdy biedę

Żyd przywiązał do płotu, iść do niej dla zbadania, co się w niej działo.

Dobywał się czasem do wnętrza, rozwiązywał worki, przepatrywał uprząż, zaglądał z pod spodu, próbował kół, a jeśli flaszką z wódką się znalazła, zawsze z niej pociągnął. Innych rzeczy nigdy nie ruszył. Konia głaskał, chomąt mocował,—słowem bawił się. Myślano, że i tym razem Szloma jedzie, ale Grzymała wyszedłszy, zobaczył bryczkę krytą, cztery konie wzdłuż... i pobiegł dać znać, że ktoś taki nie żartem jedzie w gościnę. A tu na stole jeszcze były farfurki z niedojedzonymi kluskami, po obrusie chleb porozsypywany, flaszeczka z siwuchą...

Sprzątać nie było czasu.

Gdy bryczka przed gankiem stanęła, okazał się w niej pocziwy Morochoowski.

— Jechałem do Włodawy: myślę sobie... Wstąpię albo co? Oto mnie masz...

Obejrzał się.

—No... dwór, prawda duży,—ale...

— Pustka i ruina!—dodał witając się Sobek. Aż mi wstyd, że pana mego nie mam czem i jak przyjmować—a co robić?

— Sercem przyjacielskiem i dosyć—rzekł Morochoowski.

Wszedł do izby, rozglądając się po kątach. Grzymała zachodząc w głowę czem ugosić,

proponował kawę, którą dla lubiącego ją Sobka trzymał.

— Dawajcie, co macie—śmiejąc się, rzekł sekretarz,—jam niewybredny.

Gdy stary poszedł dopilnować podwieczorku, Morochowski się odezwał.

— No, cóż u waćpana słychać?

— U innie, po staremu.

— Czemu bo się nie ruszasz, nie poczyniesz co?

— Nie mam czego poczynać!

— Widziałeś od tej pory podstołaukę?

Sobek się zarumienił, głową dał znak potakujący.

— Cóż ona?

— Tak jak ja—czekamy oboje, aż się Bóg i ludzie zlitują.

— A to przyznam ci się—odparł Morochowski—na to zakrawa, że do siwego włosa tak możecie czekać. Mnie przyszło na myśl, czyby podskarbiance o tem nie przypomnieć, ona teraz cała w swoim weselu, lecz tem bardziej drugichby pewnie szczęśliwymi widzieć chciała. Bez waszego konsensu mówić o tem mi nie wypadało, pozwolicie mi—przypomnę?

Ścisnął go za kolana Sobek...

Przegadali tak z godzinę, konie popasiono, Niemowa miał czas nawet szczegółowie konstrukcyę bryczki obejrzoć. Morochowski pojechał.

Znowu tedy promyk nadziei zaświtał nad Trzcieńcem, choć stary Grzymała posłyszawszy o tem, mruknął:

— At—obiecanka, eacanka!

Jakoż w istocie dwa tygodnie minęły, a z Terespoła żadna wieść nie przyszła. Trzeciej niedzieli z Kapłonosów posłaniec przywiózł list od Morochowskiego, oznajmujący, że podskarbianka była najlepszych intencji, ale z ks. kanclerzyną nie było nawet mówić sposobu.

— „Ja jej tam za jakiegoś szlachetkę, co nawet wsi porządnej nie ma jednej, nie wydam. Byłaby nieszczęśliwą. Dwór słyżę w ruderach, nie ma jej gdzie zaprowadzić...” Tak mówiła ks. kanclerzyna.

Radzono czekać i mieć cierpliwość, co i bez rady czynił Sobek; powzdychali—Grzymała się dąsał.

Znudzony p. Felicyan począł nareszcie myśleć o dzierzawie, i ruszył do Sapielów. Tu do samego pana nie sposób się było docisnąć, a pośredników smarować było potrzeba i zabiegi czynić, kłaniać się, do czego p. Felicyan zdolnym się nie czuł. W Kodenszczyźnie, co było do wzięcia, już klienci książęcy porozchwytywali, reszta nie inaczej się dawała utargować jak z grubem przypożyczeniem. Na toby funduszu nie stało.

Więc znowu grzebało się w Trzcieńcu dalej. Wśród tej ciszy głuchej, doszła tu wieść

o świetnem weselu podskarbianki, które się odbyło w Wołczynie. Hetman Radziwiłł, choć był na bakier z kanclerzem i Czartoryskimi, wziął na siebie dostarczenie zwierzyny; więc po lasach Radziwiłłowskich tak hukano i strzelano, że aż w Trzcińcu słyszać było.

Po weselu, których razem się dwa odprawiało, bo z rana Ogiński incognito wziął ślub z podkanclerzyną, a wieczorem uroczyste nastąpiło zaślubienie podskarbianki, Sobek trochę miał nadziei, że wojewodzicowa ruska może za nim przemówi;—ale tygodnie i miesiące mijały, a skutku tej instancyi doczekać się nie mógł.

Pojechał więc znowu do Wołczyna, aby sercu ulżyć.

Chociaż Sawrańczuk zapraszał go do siebie, nie chciał z tego korzystać cześnikowicz. W sobotę wieczorem przyjechawszy, rozłokował się w austeryi i poszedł się tylko dowiedzieć do niego. Tu się dopytał, że Sawrańczuka posłano do Puław, i że nieprędko miał powrócić.—Nazajutrz do kościoła na mszę powlókł się cześnikowicz i na dawnym stanął miejscu.

Na sumnę nadeszła ks. kanclerzyna, wiodąc za sobą podstolaną. Panna Anna musiała pewnie być przyzwyczajoną szukać na znanem miejscu oczyma swojego Sobka, bo zaledwie usiadła, spojrzała i zobaczyła go. Prawie nie-

znacznem poruszeniem głowy, powitała go tylko, i oczy spuściła na książkę.

Znowu tak jak pierwszym razem zbliżyli się przy święconej wodzie, i cześnikowicz pozostawszy trochę, oczyma szukał protektorki swej Żuchowskiej. Znalazł ją wprowadzić, ale zmienioną dziwnie: powitała go zimno, a choć z nim odeszła ku zakrystyi, rozmowę poczęła wcale z innego tonu.

— Bardzo mi wacpana żal—rzekła,—i pan-ny podstolanki też, ale bo się upieracie, a z tego bodaj nic nie może być. Ja sama myślałam z początku, że ks. kanclerzyna da się ubla-gać, a teraz widzę, że nie. Trzeba bo żebyś to sobie wybił z głowy i dziewczynic perswadował.

Sobek posłuchał, nie odpowiadając.

Popatrzała nań Żuchowska.

— Słowo daję—ciągnęła dalej,—że mam wielką komnizeracyę nad państwem—ale co nie można, to nie można...

W istocie zaczął panią Żuchowską zjednać był sobie nowy pretendent do ręki podstolanki, a że była serca miękkiego, dała się na jego wiarę nawrócić. Teraz już jej może przykro było, sama nie wiedziała z kim trzymać.

— Ja wiem, że wybyście się może chcieli zobaczyć, pogadać, ale nuż, uchowaj Boże, wypaple się kto, zobaczy! Z ks. kanclerzyną żartów nie ma.

Widząc, że Sobek stał mocno zasmucony, dodała prędko:

— No to już przyjdź, przyjdź po obiedzie, ale ja nie ręczę, czy panna Anna będzie mogła. Ona się też boi.

Tak zbyty ozięble częśnikowicz, przesiadzał w gospodzie cały czas, nie jedząc i nie pijąc— a w godzinie oznaczonej poszedł do oficyny.

Żuchowska go przywitała czulej, gryzło ją sumienie.

— Czego bo wacpan tak melancholizujesz? odezwała się,—nie trzeba znowu brać tak do serca. Można, uchwaj Boże, sfiksować z tego. Ja sama widziałam człowieka, bardzo słusznego, który z wielkiej miłości oszalał, potem mu się zdawało, co jaką zobaczył, że to była jego bogdanka. A tę dawno pochowali. Daj bo pokój i nie smuć się.

Sobek się uśmiechał dla przekonania, że jeszcze nie sfiksował, nie śmiał spytać o podstolankę, gdy Żuchowska dodała:

— Panna Anna przyjdzie — ale asindziej miej sumienie. Co się ma dziewczynisko męczyć? sam jej i sobie wyperswaduj. Niech idzie za Borzęckiego, człek majątny, stateczny, szczerze ją kocha.

— Ja nie stoję na zawadzie—odezwał się Sobek,—jesli taka wola podstolanki!

To mówiąc wstał, jakby chciał odejść; Żuchowska siedzieć mu kazała.



— Otoż to bieda, że podstolanka się upiera waćpanu wiary dotrzymać. Trzeba, żebyś jej perswadował.

— Jakże pani tego po mnie możesz wymagać?

— Dla jej szczęścia!—zawołała pani Żuchowska. Waćpan tego nie widzisz, ona wzdycha, a i wy nie lepiej wyglądacie. Co taka miłość warta? Dalibyście pokój!

Na te słowa weszła panna Anna; zerwał się czesnikowicz.

— A wiesz, co ja tu mówiłam?—odezwwała się ochmistrzyni,—i powtórzę nie kryjąc się, że powinien ci słowo oddać i namawiać, ażebyś szła za Borzęckiego,—jak Boga kocham.

Panna Anna w istocie bledsza i mizerniejsza niż dawniej, usmiechnęła się, patrząc na smutną twarz Sobka.

— Cóż pan na to?—spytała.

— Chcesz pani tego po mnie?

Panna Anna zarumieniła się nagle.—Ja?—zawołała.—ja? możesz mnie o to posądzać?

Żuchowska usłyszawszy to, ręką machnęła, chwyciła kluczyki i wyszła.

Rozmowa poczęła się po cichu, smętna i żałościwa. Sobek się nie skarżył, podstolanka ubolewała nie nad tem, że musiała czekać, ale że ją nieustannie naglono, namawiano do coraz nowych projektów, a kanclerzyna coraz się stawiała zimniejszą i niechętniejszą dla niej.

Siedli około siebie i szeptali, aż póki Żucho-

wska nie nadeszła. Widać było, że w czasie niebytności swej, monologiem przeciągnęła rozpoczęte nawrócenie, gdyż natychmiast dalej je w progu przedłużała.

... — Bo co nie można, to nie można, to darmo, oboje zmarniejecie, a na swoim nic postawicie. Przeciw księżnie kanclerzynie to tam nie ma co i mówić, że z waszemi siłami nic nie zdołacie, a że jej nie nawrócicie, na to gardło daję. Więc, ślicznie, pięknie, dajcie za wygraną i każde w swoją drogę,—jak Boga kocham...

Spojrzała na nich, lecz ci dwoje, do których tak przekonywająco przemawiała, nie okazali niczem, ażeby się na jej zdanie zgodzić mieli. Ciągnęła więc dalej:

— Z młodymi, to, ja powiadam, gdy sobie co w głowę wbiją, nie ma ratunku; gotowo to poprzepadać, a nie ustąpi.

Uśmiechnęła się podstolanka.

— A pani Żuchowska nigdy młodą nie była?

Ochmistrzyni ręką poruszyła.

— Panu Bogu dziękuję, że się już ta młodość skonczyła—rzekła,—bo to tylko niepokój wiekuisty, człowiek sam nie wie, czego chce i życie sobie truje.

I skonkludowała wedle zwyczaju:

— Jak Boga kocham.

Wtem Justynka wbiegła, żądając czegoś od

pani Żuchowskiej; zwróciła więc gderliwe swe usposobienie ku niej, i wyszła z nią razem.

Skorzystał z tego Sobek i na odwagę się zebrał.

— Panno podstolanko dobrodziejko—odezwał się,—niech się pani na mnie nie gniewa za to, co powiem. Jeżeli się pani losu ze mną nie lękaasz, a ja życie stawię, że się o polepszenie jego wszelkimi siłami starać będę—jam swobodny, panny Anny tu nic nie wiąże, daj mi pani rękę, idźmy w świat. Nie potrzebujemy nic od nikogo. Panna Anna sierotą jesteś, zależysz tylko od siebie.

Usłyszawszy to podstolanka zarumieniła się i za rękę pochwyciła Sobka.

— Nie kuś mnie waćpan do złego,—rzekła poważnie. Słowa danego mu nie złamię, ale powiedz sam, nie byłabym winną, rzucając ten dom, który mi dał przytułek, tę opiekunkę, która mi matkę zastępowała, wypłacając się jej buntem? Coby ludzie powiedzieli na waćpana i na mnie? Wreszcie, gdyby pani kanclerzyna wzięła to do serca, myślisz waćpan, że trudnoby jej było kazac mnie wziąć nazad ze Trzcienia? Na to dosyć dwudziestu kozaków nadwornych, którychby wysłano za nami. Nic supponuję, ażeby się to stać mogło, ale pokryjomu i gwałtownie czynić nic nie chcę. Ile razy mnie pyta opiekunka, mówię otwarcie: że albo pójdę za tego, kogom wybra-

ła, lub za żadnego. Znoszę fukania i wymówki, lecz uciekać nie godzi mi się, ani waćpanu żony brać kradzionej.

Sobek zaniłłł smutny, coż miał już rzec?

— Więc i widywać się dalej będzie trudno, odezwał się. Pani Żuchowska niechętna, do nikogo innego zwrócić się nie mogę, chyba że do kościoła czasem zajrzę, abym się wam przypomniał.

— Dopóki my w Wołczynie—westchnęła podstolanka,—ale i to niedługo potrwa, bo mowa jest o wyjeździe do Warszawy.

Wróciła Żuchowska z kluczami, a wkrótce wejrzeniami i półsłówkami dała uczuć Sobkowi, że czasby się było oddalić.

Cichym szeptem zamknęła się smutna rozmowa; Sobek pożegnał się i wyszedł—nie straciwszy nadziei, lecz przekonany, że ziszczenie jej na długie lata przeciągnąć się musi.

Była to jego ostatnia wyprawa do Wołczyna. Powracając ztąd, zajechał do Terespola do Morochowskiego, boć mu zakazanem nie było przez miasteczko przejeżdżać. Przez tę podróż cała, a może i z dawniejszych dumań, usposobienie w nim zrodziło się gorzkie, żółcią zapłynęło wszystko, świat i ludzi widział straszliwie czarno. Rozpaczliwie zarazem i obojętnie rozpatrywał się po tym Terespole, w którym kilka lat przebył, lepszą sobie obiecując przyszłość. Rozmyślał tak, gdy podjeżdżając

do dworku pana sekretarza, spostrzegł pieszko idącego Fleminga, wprost naprzeciw, tak że go minąć nie było podobna.

Podskarbi szedł otoczony oficyalistami, na których po kolei burczał, bo bez tego się nigdy obejść nie mógł, chociaż nie był dnia tego tak gniewnym, jak go czasem pan Felicjan widywał. Zdaleka poznawszy jadącego, podskarbi stanął i począł dziwnie go mierzyć oczyma, jakby wyzywał.

Sobek uważał za rzecz przyzwoitą z konia zsiąść i uklonąć się.

— A pan na cztery chłopcy, co tu w Terespole robi?—zawołał szydersko Fleming.

Krew szlachcicowi uderzyła do głowy.

— Przepraszam pana grafa, zdajo mi się, że goście każdemu wolny?

Podskarbi, jakby go co ukąsiło, poskoczył ku niemu.

— Słyszał apan, że mi zakazał mi się pokazywać na oczy?—zawołał.

— Ja też weale nie miałem tego zamiaru narzucać się panu grafowi,—począł z trochę dumy szlacheckiej Felicjan. Proszę wierzyć, że prędzejbym ominął Terespol, niż go szukał! Po tem, co mnie tu spotkało, niebardzo to miłe wspomnienie.

— Co spotkało? co spotkało?—zakrzyczał Fleming.

Oficyaliści w koło stali jak struchleli.

— Co? niech sobie graf przypomni,—rzekł Felicyan. Ratowałem pana wówczas, kiedy go wszyscy opuszcili, i pan Bystry i Kropiński; wyniosłem go z pod szabel szlacheckich na moich rękach, ustawując za niego własne życie. Za to dostałem dzierżawę Kaplonosów, którą mi kaprys panski odebrał wśród roku! Służyłem panu uczciwie i wiernie, a odpędzony zostałem, jakbym zdrajcą był. Pan graf sądziłeś, że pieniędzmi mogłeś wszystko zapłacić, i że ubogi szlachcic powinien się tem kontentować! Teraz mi pan z tego robisz grzech, że przez gościniec jadę! Pfu!

To mówiąc, zaperzony mocno Sobek, pokłonił się z lekka raz jeszcze, czapkę nałożył i brał się konia, gdy Fleming, który był skonfundowany, począł wołać:

— Ty! ty! szlachcic cztery chłopy! Chodź no tu! chodź! Co się sierdzisz? Co? Krzywdym ci nie zrobił!

— Owszem, uczyniłeś mi ją pan!—rzekł Sobek. Wolno panu było mnie odprawić, gdy się nie zdał, ale nie w taki sposób.

Fleming się obrócił do stojących oficjalistów i ręką ich pożegnał, wskazując, aby szli. Zły był, lecz czuł też, iż niesprawiedliwość popełnił.

— Chodź acan ze mną do pałacu! Na gościniec się nie rozprawia...

Sobek nie uląkłszy się wcale, konia za sobą

prowadząc, począł iść za Flemingiem, który coraz to się na niego oglądał, ale nie mówił nic...

Widocznie słabość miał do Sobka, gdyż po tak śmiałem wystąpieniu, każdego innego spotkałby despekt okrutny. Oficjalisci odchodzący spoglądali ciekawie, nie mogąc sobie wytłumaczyć, na czem się to skończy.

Ponieważ scena się odbyła nieopodal od dworku Morochońskiego, sekretarz patrzył na nią przez okno, a Wyrzykowski aż na ganek wybiegł i skryty za słupem napawał się z rozkoszą widokiem katastrofy niemiłego mu człowieka.

Z gwałtownego przemówienia Sobka wnosił, że może nastąpić katastrofa; lękał się jej i Morochoński, porwał za czapkę i podążył, papiery niby niosąc za Flemingiem.

Podskarbi popędliwy był i samowolny, i on, i Czartoryscy, posługując się drobną szlachtą, nawykli byli ją lekceważyć, — było w nim jednak i poczucie sprawiedliwości pewne, i poszanowanie mimowolne godności człowieka gdy ten sam się za nią ująć umiał.

Konia oddawszy przy stajni, pan Felicjan wszedł śmiało do kancelaryi za Flemingiem.

Zaledwie próg przestąpiwszy, podskarbi zwrócił się do delikwenta.

— Więc się acanu krzywda stała odemnie? zawołał.

— Panie grafie—rzekł śmiało Sobek,—za to, coś mi pan dobrego uczynił, jestem i nie przestanę mu być wdzięcznym. Rzuciłeś mi pan garść pieniędzy,—a za to, bez przyczyny, nie słuchając sprawy, odsądziłeś potem od czei i od wiary, dla tego, że się podobało panu Bystremu rzucić na mnie kalumnię, że ja u Radziwiłłów służby szukał. Otoż pan Bystry skłamał, powiem mu to w oczy. Nie ja się do Radziwiłłów zgłaszałem, ale księżę chorąży do mnie przysłał, chcąc mnie mieć u siebie. Odmówiłem. Ale że miał do Białej jechać, wśród roku mi dzierżawę odebrano. Nie skarzę się za to, ale za krzywdę honorowi memu wyrządzoną.

Fleming słuchając, z jednej nogi na drugą przeskakiwał.

-- Dosć, dosć, tausend sapereiment, dosć!

Przeszedł się po kancelaryi poruszony gwałtownie.

— Krzywdą honorował pan na cztery chłopcy!

— Honor na czterech chłopach taki drogi, panie grafie, jak na tysiącu!

Odwrócił się podskarbi, twarz mu spazmatycznie drgała z lewej strony, nogami tupał.

— No—czegoż chcesz? co? satysfakcyi? bić się ze mną! Fiksat!—zawołał gniewnie.

— Ja od pana nie chcę nic a nie!—odezwał się Sobek.—Mam dla pana respekt i wdzięczność, ale krzywdę czuję i miałem prawo się poskarżyć.



— Kapłonosów chcesz znowu?—rzekł szydersko.

— Boże uchowaj!—zakrzyczał Sobek obrażony.—Gdybyś mi graf całą Włodawszczyznę dawał, tobym jej od niego nie wziął. Wierz mi pan, że ja na czterech chłopach ze spokojniejszym sumieniem zasypiam, niż kto inny na stu chatach!

Mocno zirytowany, Sobek już nie mając do stracenia, nie zastanawiał się nad tem, co mówił.

Być może, iż Fleming miał wówczas na myśli nowe sejmiki i jakąś ze szlachtą robotę i nie chciał dać powodu do krzyków na siebie; może go też sumienie ruszyło, dosyć, że z impetu wielkiego odchodząc, zbliżył się do Sobka i począł:

— Cos waćpan stracił przez odebranie dzierżawy? gadaj!

Sobkowi wcale o grosz nie chodziło.

— Panie grafie —zawołał, — byłeś łaskaw pierwszy rok mi puścić folwark darmo, trzymałem wieś lat kilka, więc pretensyi nie mam. Nic nie chcę!

Ta bezinteresowność zakłopotwała mocno podskarbiego, rzucił się.

— Szlachecka duma! — zawołał, — waćpan jesteś goły.

— Alc nikogo o nic nie proszę!—zawołał Sobek.

Z największą niecierpliwością uderzył w stół obiema rękami Fleming.

— Cóż mam z acanem robić? co? mów u licha!

— A no... nie, panie grafie, —odparł spokojniej Sobek. Zrzuciłem z serca coś na niem miał. Pokłonię się i pójdę.

Brał za czapkę, Fleming go chwycił za rękę i wciągnął do środka pokoju.

— Ja tak nie chcę! nie! Gadaj! Co mam zrobić, żebyś kontent był? Co?

— Oddaj mi pan graf tę sprawiedliwość głośno, żem mu pocziwie służył i nie dla zysku, — odezwał się Sobek, —będę kontent. Więcej mi nie trzeba nie.

W tej chwili Morochowski, który lękał się jakiego wybuchu, i biegł za podskarbin, zapukał do kancellaryi, Fleming gniewnie skoczył do drzwi, ale zobaczywszy sekretarza, wciągnął go szybko i sam za nim zamknął.

— Oto patrz! faworyt acana! —zawołał, — na gościńcu mi awanturę zrobił! Ja mu krzywdę zrządził? Łaje mnie. . fuka... Słyszysz?

Morochowski zimno patrzył na obu.

— Upomniałem się o mój honor —odezwał się Felicyan, —a jesli to za żywo uczynił, niechże pan graf przypomni, że mnie sam przy ludziach zagadł o to, iż smiem przez Terespol przejeżdżać..

Nie słuchając już tego tłumaczenia, poryw-

czy Fleming schwycił Morochowskiego, odprowadził go do kąta, zaparł w nim, i począł z właściwą sobie gestykulacją gwałtowną, pięści podnosząc do góry, nogami wierzgając głową rzucając, coś mu szeptać, pisać, prychać i dokazywać tak, że Sobek, gdyby nie szło o jego skórę, byłby się serdecznie śmiać musiał.

W chwilach, gdy się zniecierpliwił, Fleming bywał i straszny i do najwyższego stopnia pocieszny. Można było sądzić, że ze skóry wyskoczy.

Morochowski nawykły do tych raptusów, które po kilka razy na dzień przypadały, znoślił je z nieporuszoną stoicyzmem i flegmą, choć podskarbi w impecie tym i za kontusz go ciągnął i za guziki od żupana chwycił i ręce mu na ramiona kładł i na nogi następował.

Sobek stał, przypatrując się zdala, słów pół polskich, pół niemieckich, nie wiele słyszał, lecz łatwo mógł zmiarkować, że o niego chodziło. Morochowski cierpliwie wysłuchawszy, na ucho coś rzucił, krótko a węzłowato podskarbiemu i jakby go zimną oblał wodą—uspokoił się.

Złożył potem przyniesione papiery na stole i skinął na Sobka, ażeby pożegnawszy się szedł za nim.

Podskarbi kiwnął mu głową, nie odzywając się. Wyszli do sieni, w ganek, na dziedziniec,

Morochowski nie mówił nic, tylko parę razy mruknął.

— Chodź ze mną.

Dopiero gdy pałac z oczów zniknął, sekretarz się odwrócił, uderzył po ramieniu Feli-cyana, i rzekł:

— Grackoś się spisał! Fleming chce sprawę zagodzić. Cosmy nadaremnie na inny sposób starali się zrobić, to pan Bóg cudownie załatwił, jak to on umie, gdy łaska jego... Powtarzam ci, Fleming chce z tobą sprawę zagodzić.

— A coż tu godzić? ja od niego nie chcę nic,—rzekł Sobek,—był mi sprawiedliwość oddał.

— Ba! sam on czuje, że odbierając wśród roku dzierżawę, nie spisał się.

— A! niech go tam!—odezwał się Sobek,—od niego nic nie chcę.

Morochowski stanął i rękę mu położył na piersiach.

— Nie zarzekaj się—rzekł,—zrobimy, mówiąc językiem prawnym, komplancję. Możesz żądać od niego, aby się wstawił za tobą do księżny kanclerzyny. Sądzę, że mogłoby to być skutecznem. Zresztą, kupić nie kupie, potargować można—co myślisz?

Sobek, choć jeszcze w ulicy byli, za kolana go schwycił, a stary go wziął i w głowę począł wyciąłowywać.

— A co? dobra myśl?

— Złota! święta! rób pan! daję nieograniczoną plenipotencję!! Dobroczyńcą moim będziesz...

— Acindziej, tak mi z planu wypadła,—dodał Morochowski,—siadaj na kon i ruszaj do Trzcieńca. Dam znać!

W ofieynie Wołczyńskiej u pani ochmistryni byli goście, seislej biorąc, jeden tylko, lecz ten stał za wielu, bo od pewnego czasu w łaskach był u pani Żuchowskiej. Wkupił on się w nie, najprzód oddając się protekcyi jej, powtórę słuchając sympatycznie długich jej opowiadań, naostatek—bodaj i tego przeczzyć się nie godzi—woził prezenciki.

Był to obyczaj owego czasu, wszyscy wszystkim przy wszelkiej zręczności dawali prezenta, nosili gościńce. Pan Borzęcki, o którym mowa, znał się na chodzeniu około interesów, już że po trosze prawnikiem był, już że w ogóle zabiegliwym był, lat średnich, ni stary ni młody, zdrów, troszyneczkę już zaczynający tyć, krągły, rumiany, smiejący się, polityk wielki.

Pani Żuchowska go u panny protegowała i u kanclerzynej. Wioskę miał dobrą—i sperandy. Czegoż było chcieć? a że między szlachcią województwa brzeskiego zachowanie miał, i to się na cos Wołczynowi przydać mogło.

Zalecała go więc pani Żuchowska coraz go-

ręcej, nastając na pannę, że powinna była sobie raz wybić z głowy swojego amanta na czterech chłopach.

Podstolanka słuchała cierpliwie, rzadko odpowiadała, ale była niewzruszoną, co niecierpliwiło do tego stopnia nieco przesadną panią Żuchowską, że w końcu mówiła zaufanym osobom:

— Prawdziwie powiadam acaństwu, że chyba czary jakie w tem: pić jej co dali, czy jakiego licha zrobili, że niczem z głowy wybić tego hołysza... A żeby znowu w nim było co tak osobliwego, słowo daję, tego nie widzę. Przystojny sobie chłopiec i prezencyę ma, ale tyle tego... Dosyć, że zaczarowanali!

Dnia tego solennie kawą z sucharkami i obwarzankami czarnawczyckimi przyjmowała pani Żuchowska Borzęckiego, a choć nie miała tak dalece nic pocieszającego do zwiastowania mu, czyniła nadzieję.

— Bądź pan spokojny, stałe przywiązanie wszystko przemaga,—mówiła. Już ja widzę, że panna na waćpana coraz lepszym okiem pogląda, nie trzeba się zrażać. Nie jest tajemnicą, że innego w sercu miała, ale to zwierzało i przeszło.

— Panno łowczanko dobrodziejko,—rzekł Borzęcki,—ja jeszcze nie widzę, żeby łaskawszą być miała.

— Ale bo acan dobrodziej nic wymagaj od

skromnej dziewczyny, ażeby mu się zaraz na szyję rzuciła. Trzeba dać czas. Ja ją znam! Harda jest, ambicyi ma wiele, ale żona z niej będzie!... ze świecą drugiej poszukać. Ludzie waćpanu zazdrościć będą.

Pani Żuchowska uczyniła była pono nadzieję p. Borzęckiemu, że podstolanka, którą zaprosiła na kawkę, przyjdzie do niej. Chodziła więc niespokojna trochę, coraz to spoglądając przez okna na drogę ku pałacowi. Panny Anny widac nie było.

— I nic dziwnego, że nie przychodzi—pocieszała protegowanego—bo podskarbi przyjechał, więc może ks. kanclerzyna jej tam około siebie potrzebuje.

— Jest pan Fleming?—spytał Borzęcki.

— Od wczoraj! U nich to tam te konferencye raz w raz! To, panu wiadomo, statysci, ministrowie, więc na ich głowie Rzeczpospolita. Ks. kanclerzyna też partycuje w naradach, a w takich razach panna Anna ma co czynić — bo ją posyła pani.

— To może całkiem nie przyjdzie!—węstchnął Borzęcki.

— Ale ja panu dobrodziejowi powiadam, nie trzeba się nigdy zrażać,—mówiła Żuchowska. Jeżeli tylko będzie mogła, assekuruję ze przyjdzie.

— Bo ja — szepnął Borzęcki,—dobywając coś z za kontusza,—przyznaję się acani dobro-

dziejce, za łaskawą intercessyą jej, jako osobliwej protektorki mej, chciałem dziś—coś takiego... coś takiego...

Borzęcki zaczynał właśnie rozwijać, odrzucił najprzód jedną bibułę szarą, potem drugą, potem papier biały, z pod niego ukazał się gałganek, pod nim bawelna, naostatek w niej jak w pieluszkach obwinięta bardzo ładninch-na z lancuszkami balsamka. W takich ozdobyh klejnocikach zamczystych noszono dawniej wonności. Niektóre z nich, arcydzieła złotniczej sztuki, rzeźbione były misternie i wysadzone kamyczkami drogiemi. Balsamka p. Borzęckiego po matce zapewne była odziedziczona. Śliczna też była, a że się dobrze zamykała, jeszcze otworzywszy ją, czuć w niej było won różanego olejku tureckiego, który ją niegdys uapełniał.

Pani Żuchowska, oglądała prezencik z ciekawością, poszła z nim do okna, chwaliła niezmiernie, lecz wśród tego zajęcia, i gdy jeszcze bibuła i gałganek z bawelną leżały na stole, nim pośpieszono pochować to wszystko, szybkie kroki biegiem się do drzwi zbliżyły i podstolanka wpadła do pokoju.

Dawno jej pani Żuchowska taką nie widziała. Była jakby cudem jakimś zmienioną, rumieuce miała na twarzy, w oczach promienie, uśmiech na ustach.. Szła bynajmniej nie ulęk-niona widokiem p. Borzęckiego, witając go



wesoło, tak, że i on i Żuchowska cudowną tą metamorfozą uczuli się ożywieni.

Ochmistrzyni, przesuwając się mimo p. Borzęckiego na powitanie podstolanki, szepnęła mu:

— A co? nie mówiłam?

Gosć tymczasem co najprędzej zwijał bibuły i chował *corpus delicti*, aby przed oznaczonym terminem z nim się nie wydać.

— Ja-bo mówiłam—odezwiała się witając Żuchowska,—że niechybnie pannę zatrzymało to, iż podskarbiego mamy.—Siadajże proszę cię.

Borzęcki się usunął, podstolanka usiadła. Rzucając oczyma śmiało i wesolutko, potwierdziła:

— Zgadła, kochana łowczanka, bo istotnie pan podskarbi temu winien.

— A widzicie! bo to ja przecie skombinować umiem,—usmiechając się dodała Żuchowska.

Borzęcki najpiękniejszy swój uśmiech wzięwszy na usta, pochylony, zachwycił się podstolanką, łamiąc głowę od czego pocznic i jak doprowadzi rozmowę do balsamki.

Sam ów frazes, który miał jej przy oddaniu towarzyszyć, był już gotów, szło tylko o to, jak go za uszko przyczepić.—Brzmieć miał: „Chociaż jak kwiat jasna i wonna, racz pani przyjąć tę drobnostkę, której zapach wyraża

sentyment mój dla niej czysty i nigdy zwierzeniu uleść nie mogący.”

Lecz jak zaraz się dowiemy, komplement razem z balsamką miał na wieki pozostac w kieszeni p. Borzęckiego.

— Coż tam pan podskarbi przywiózł *de publicis*?—zagaił z fatalną niezgrabnością gość.

— A! tego ja tam nie wiem—odparła panna Anna,—ale dla mnie tym razem był najmielszym z gości!

Spojrzała na Żuchowską, która nie rozumiejąc nic, kręciła głową.

— Proszę! proszę! pewnie od wojewodźcowej przywiózł list?

— A! nie!

— Wiadomość?

— I to nie!—rozśmiała się panna Anna.

— Więc już nie wiem, alem mocno zaintrygowana tem, czem pan podskarbi się mógł przysłużyć.

— To moja tajemnica—mówiła śmiejąc się podstolanka,—a próżnoby się kto silił odgadnąć! ale się panna łowczanka dowie wkrótce.

— Proszę! proszę!..

Zmieszała się tą wesołością niezwykłą i tym sekretem panna Żuchowska. Nie mogła nawet wytrzymać dłużej, i domysławiając się, iż przy Borzęckim mogła nie chcieć się spowiadać panna, skinęła na nią.

Weszły do bokówki.

Gdy się to działo, Borzęcki miał czas spojrzeć w zwierciadło, poprawić kołnierz, pas, pogładzić włosy i oddać sobie tę sprawiedliwość, że piękniej niż on dnia tego trudno było wyglądać.

Siadał na krzesle, gdy wśród szeptów, które dochodziły uszu jego, nagle dało się słyszeć plasnięcie w dłonie i krzyk:

— Jezus, Marya!!

Choć podstolanka była wesoła, i głos jej przeplatany śmiechem, wykrzyk ten z piersi łowczanki pochodzący, był objawem zdumienia i niemal rozpacz.

Co to mogło być?

Borzęcki z oczyma zwróconemi na drzwi, siedział na krzeselku, gdy obie panie wyszły, podstolanka promieniejąca, Żuchowska blada, z ustami zaśrubowanemi, sztywna i widocznie pomieszana.

Borzęcki powtórnie się siebie spytał: co to może być?

Panna Anna powróciwszy, wypila kawę żywo, roztargniona, i natychmiast ukloniła się, dygnęła, a nim Borzęcki oczyma miał czas wezwać Żuchowską, aby mu pomogła do balsamki,—już jej nie było.

Po wyjściu panny — nastąpiło milczenie grobowe. Żuchowska z rękoma założonemi stała przed stołem, kiwała głową, stękała i wi-

docznie złamana była jakimś strapieniem niespodzianem.

Jeszcze Borzęcki nie miał czasu zapytać o przyczynę, gdy poczęła sama do siebie.

— Prawdziwie powiadam, że jak Boga Kocham, słowo daję, nie wiedzieć, co to jest? Licho wic!

Borzęcki oczekujący z ust wyroku, także się niewiele z tych słów mógł dowiedzieć.

— Żeby pani była mnie troszynkę pomogła, byłbym się może odważył z balsamką.

Żuchowska ręką dała znak niechęci.

— I! daj już pan pokój z tą balsamką,—westchnęła,—nie ma co już o tem mówić, awantura i po wszystkim. Nie wiedzieć zkąd? co? jak? Słowo daję,—nie do pojęcia!

Gość czekał jeszcze jasnieszego tłómaczenia, lecz złe miał już przecznie.

— Cóż się stało?—spytał cicho.

— Pani kanclerzyna, słowo daję, pierwszy raz w życiu zmięka. Ktoby się tego spodziewał! Wie pan, że oto Fleming na niej wymógł, że za tego holysza pannę wydaje. A zaklinała się, zaręczała: nigdy a nigdy.

Zerwał się Borzęcki.

— Co? co? jakim sposobem?

— Albo ja wiem?—ruszyła ramionami Żuchowska,—nie nie rozumiem! nie! Panna wpadła jak po ogień, żeby mi powiedzieć, że za

swego amanta wychodzi. Piękna partyal nie ma co mówić! Intrygi tylko i po wszystkim.

Zbladł pan Borzęcki, kaszlnął, a w duchu może sobie pomyślał, że przynajmniej balsamka ocalona została. Markotno mu jednak było dni kilka, bo wedle notatki, prezenciki pani Żuchowskiej ofiarowane, *praeter propter*, szacowane być mogły na czerwonych złotych piętnascie; tyle tylko, że się za to parę razy dobrej kawy napił i słodkiej a zawodnej nadziei.

Nie mniej uszczęśliwionym od podstolanki był cześnikowicz, któremu listem Morochowski dał znać, ażeby natychmiast do Wolczyna biegł dziękować podskarbiemu i ks. kancle-rzynie. Gdy posłaniec przyjechał do Trzcien-  
ea, w mgnieniu oka wszystko się tu przewróciło do góry nogami. Sobek chwycił Grzymałę ściskać, i o mało go nie ndusił. Choć list przyszedł wieczorem, przy latarni natychmiast pobiegli do stajni. Koni miał teraz kilku co się zowie pięknych cześnikowicz, i czwórki swej nie powstydzilby się nigdzie. Tu też trzeba było wystąpić! W nocy wzięto się do czyszczenia i smarowania uprzęży, do opatrywania węgierskiej bryczki, bo choęby konie popadały, leccić chciał natychmiast do Wolczyna p. Felicjan.

Ze wsi zwołano dwóch parobków do pomocy, nikt oka nie zmrął we dworze, Grzyma-

ła chodził w ciągłym strachu, żeby uchowaj Boże, jeszcze gdzie ognia nie zatrzęśli.

Nade dniem, z wielką biedą, ale bryczka stała pogotowiu, Felicyan do nóg staremu padł jakby ojcu rodzonemu, prosząc go o błogosławieństwo. Poplakali się oba biedaki z niespodziewanego szczęścia tego.

A! ruszyłyż konięta od ganku, ruszyły tak, że bez tchu do Kodnia dobiegły, gdzie właśnie wotywa się odprawiała; więc dając się im wysapać, zbiegł Sobek do kościoła, pamiętny przysłowia: „Dla mszy nie opuścisz drogi, a dla jałmużny nie będziesz ubogi.”

Że koni nie poochwacał, była szczegółna jakas łaska Boża, bo ich nie szcędzono. Dzie sięć dobrych mil drogi ubiegły tego dnia do wieczoru, i jeszcze tegoż dnia miał pan Felicyan szczęście upaść do nóg księżnie kancle-rzynie, która, acz na małżeństwo na instancję pana podskarbiego się zgodziła, naukę kawalerowi dać nie omieszkala surową.

Fleming, chcąc być wspaniałomyslnym, ponieważ w Trzcińcu domu mieszkalnego nie było, puszczał dzierżawą Kaplonosy, gdzie się łatwiej mógł Sobek urządzić.

Tak się w sposób cudowny, zaprawdę ta historya pana na czterech chłopach skończyła, ku wielkiej radości pani wojewodzicowej ruskiej, która, choć sama do uszczęśliwienia swej przyjaciółki przyczynić się nie mogła — nie

miała na to czasu, ni sposobności przy miodowych miesiącach—lecz przyklaskiwała miłości stałej dwojga kochanków, których zwała uśmiechając się: parą turkawek z nad Bugu.

Ks. kanclerzyna, ażeby nie okazać złego humoru i żalu do wychowanki, wyposażyła ją ze wszech miar po pańsku, i wyprawę dała wspinałą.

Sobek natychmiast objąwszy Kapłonosy, folwark drewniany tak oczyszczył, ubielił, umył i ustroił, iż go prawie pięknym uczynić potrafił. Dzierżawa to wprawdzie była tylko i należało o tem pamiętać, że lada kaprys Fleminga wyrzucić z niej może, musiał więc zarazem myśleć o tem Sobok, aby w Trzcieńcu ze dworem cos zrobić.

Jakkolwiek ruder tych żal mu było, gdy jeden róg się obalił, musiano rozebrać resztę, a z drzewa jeszcze zdrowego i suchego, jakiego dostarczyła ruina, wzniesć domek wcale ładny i wygodny. Grzymała tylko już pokrycia jego nie doczekał, gryzł się niezmiernie tą fabryką, zachorował i zmarł biedaczysko na rękach wychowanka swojego. Śmierć jego spokojna była, i można powiedzieć szczęśliwa, bo się do niej gotował, i jak sam mówił, na świecie już potrzebnym nie był. Wyprowadzono go do Słowatycz.

Wesele państwa młodych naszych odbyło się w Wołeczynie, wcale świetnie i przy wiel-

kiej dosyć frekwencyi szlachty z sąsiedztwa sproszonej, oraz członków familii woleczyńskiej.

Powiadano, że ks. wojewoda ruski, patrząc na młodą parę, która bardzo pańsko i dystyngowanie się prezentowała, miał się odezwać, iż starą krew szlachecką w obojgu poznać można było. W istocie i Sobek i podstolanka, krasą i powagą, stanowili parę tak sliczną, jakiej widzieć rzadko. Pani Żuchowska, choć z razu dąsała się z powodu Borzęckiego, później całym sercem znowu zwróciła się ku cześnikowiczowi, radując się, iż „przedziwna stałość sentymentów obojga szczęśliwie uwieczoną została.”

— Prawdziwie powiadam, — odzywała się o tem później, — że takiego ewentu nigdy się nie spodziewała; bo to istny cud, iż się ks. kancelaryna dała nakłonić na to. Inaczejby czekali chyba do siwego włosa.

Fleming uspokoiwszy sumienie, przez dosyć długi czas Kaplonosy dzierzawą zostawił w ręku Sobka. Tymczasem się w Trzcieńcu dom pobudował, i cześnikowicz przyzbierawszy grosza, dołożywszy posag żony, kupił wies około Łomaz, do której rezydencyę swą przeniósł. Trzcieńca się jednak, choć nieintratnego, pozbywać nie chciał, i Niemowa stróżując przy dworze, lat jeszcze kilkadziesiąt łączywo i dREW-



ka rąbał, aż póki raz na wyżkach w sianie nie znaleziono go uspiionym na wieki.

Domyslić się łatwo, iż małżeństwo zawarte z tak trwałego przywiązania, szczęśliwem być musiało. Pan Bóg jednak nie dał mu się cieszyć potomstwem, i po Brochwiczu Sobku, ostatnim z rodu, nie zostało potomstwa.

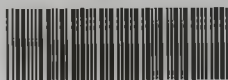
Paprocki mawiał, że zresztą o rozrodzonych familiach w tak obszernem królestwie, trudno mu wiedzieć było, i my też nie umiemy powiedzieć, azali się gdzie jaka gałązka szczepu tego nie uchowala.

K O N I E C.



**Biblioteka Raczyńskich**

**JK2926**



**JK2926**